Nr. 31. Lwów, Niedziela dnia 8. Kwietnia 1877 r. **Tom V.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK IV.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni Ad. Dygasińskiego.

Redakcya:
Ulica Akademicka l. 8.
Administracya:
Księgarnia Polska l. 12 ul. Kopernika.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

Obce wpływy.

W artykule wstępnym ostatniego numeru *Tygodnia* („Łączność umysłowa") wykazując konieczność łączności umysłowej pomiędzy trzema dzielnicami Polski, jednocześnie stanowczo zastrzegliśmy się przeciw wszelkiemu możliwemu posądzeniu, jakobyśmy pragnęli widzieć piśmiennictwo nasze odgrodzonem od wszelkich obcych wpływów i pozbawionem styczności z obcemi piśmiennictwami. Dziś chcemy z osobna pomówić o obcych wpływach, aby się i w tej sprawie jasno i kategorycznie wypowiedzieć. Obce bowiem wpływy mogą być rozmaite, i jeżeli jedne są wiatrem, który przynosi zapładniające idee, to inne należałoby może porównać z wyziewami zatruwającymi powietrze.

Żeby się przytem nie obracać w sferze ogólników, staniemy na gruncie miejscowym, galicyjskim, i przypatrzymy się obcym wpływom działającym na tę część Polski. Nie będziemy tu poruszać niedawnej przeszłości, kiedy szkoła miała na celu wynarodowienie ucznia, kiedy niemczyzna była urzędowym mundurem Galicyi; nie, popatrzymy na rzeczy jak się przedstawiają w obecnej chwili. Naturalnie, że dzisiejszy stan rzeczy jest rezultatem przeszłości, więc i o niej należałoby nam tu mówić, ale dzieje germanizacyi w Galicyi nie dadzą się zamknąć w ramach artykułu wstępnego.

Dziś szkoły są polskie, do wszystkich urzędów, z małymi wyjątkami, wprowadzoną jest polszczyzna, na katedrach uniwersyteckich panuje słowo polskie. Nie wyklucza to wcale wpływu obcej nauki, ale bo też ten wpływ nietylko nie szkodzi, ale jest pożytecznym i niezbędnym dla rozwoju umysłowego życia narodu. Mówiliśmy już o nim w artykule wstępnym poprzedzającego numeru, tu więc poprzestaniemy na powyższej wzmiance. Za to zwrócimy się do innych wpływów, o których tam nie było mowy, a które bynajmniej korzystnymi nazwać nie można.

Mówimy tu o wpływach wiedeńskiego życia i wiedeńskiego dziennikarstwa na nasze społeczeństwo. Powiązani z Wiedniem tysiącznemi nićmi urzędowych stosunków, wyczekujący ztamtąd czy to polepszenia doli kraju, czy osobistych korzyści, zmuszeni nieraz czas jakiś przemieszkiwać w tem mieście, przyzwyczailiśmy się powoli uważać Wiedeń za coś więcej, jak za stolicę monarchii, do której nas przyłączono, zaczęliśmy uważać Wiedeń za ognisko wszelkiego życia naszej prowincyi, nie tylko politycznego, ale także umysłowego i towarzyskiego. Jednem słowem, Wiedeń stał się dla nas nietylko Wiedniem, ale zarazem i tem, czem powinna była być dla nas Warszawa, lub jakiekolwiek inne ognisko wewnętrznego narodowego życia, jeżeliśmy nie chcieli sami na sobie dokonać moralnego rozbioru.

Wpływ ten wiedeńskiego życia na naszą prowincyą podwójnie był szkodliwy. Nietylko, że działał wynaradowiająco, ale szczepił w nas moralną zgniliznę. Wiedeń jest wprawdzie dość starożytnem miastem, ale nie ma wcale powodu szczycić się swemi dziejami. Jeżeli ktoś z zewnątrz nie obronił tego miasta od nieprzyjaciół, to samo ono nie miało zwykle odwagi bronić się. Przykłady zanadto świeże, abyśmy je mieli przypominać. Zbierać pieniądze i używać, to było hasło Wiednia jeszcze w średnich wiekach, a i dziś nad modrym Dunajem o nic innego się nie troszczą, jak tylko o to, aby im broń Boże ktoś nie przerwał dziennego porządku robienia interesów i używania ogródkowych roskoszy. Nazywają Wiedeń wschodnim Paryżem, ale nazwa to niewłaściwa. Prawda, że Paryż jest także lekkomyślnym, goni za rozrywkami, szuka zmysłowego podrażnienia, ale pod igrającą, swawolną falą codziennego życia drzemią tam wulkaniczne siły, gotowe na hasło jakiejś idei wybuchnąć i wstrząsnąć całym światem. Czyż Wiedeń ma jakąś świętość, której imię w uroczystą chwilę wymówione, zdołałoby go przeobrazić w wulkan ziejący ogniem i lawą? Nie, życie wiedeńskie nie zna nic świętszego i lepszego nad proste nakarmienie zmysłów, a jeżeli krach jaki nadaje mu postać wulkanu, to ten wulkan wydziela tylko z siebie błoto skandalicznych procesów.

Szczęściem, życie wiedeńskie bezpośrednio oddziaływa na pewne tylko jednostki warstw wyższych i średnich; ogół kraju usuwa się z pod bezpośredniego oddziaływania. Ale jest wpływ pośredni, bardzo silny, wywierany przez wiedeńskie dziennikarstwo na ogół. Żałujemy bardzo, że nie jesteśmy w stanie podać ogólnej liczby egzemplarzy pism niemieckich prenumerowanych w Galicyi i zestawić takąż liczbę prenumeratorów pism polskich; byłoby to nadzwyczaj pouczające zestawienie. Okazałaby się bez wątpienia przerażająca przewaga wiedeńskiego dziennikarstwa w Galicyi nad polskiem. Ale i bez statystyki każdy naocznie może się przekonać o niesłychanej mnogości dzienników niemieckich w Galicyi. Dość zrobić *un tour de plaisir* po lwowskich kawiarniach, cukierniach i piwiarniach; prawie wszędzie, z wyjątkiem pierwszorzędnych cukierni, okazało się więcej pism wiedeńskich, i w ogóle niemieckich, niż polskich. Stosunek ten w niektórych kawiarniach przedstawia się bezprzykładnie gorszącym. Tak n. p. w teatralnej kawiarni przeznaczonej, jak już sama nazwa wskazuje, głównie dla publiczności uczęszczającej do teatru, który jest polskim, w tej kawiarni na dwa czy trzy dzienniki polskie jest kilkanaście dzienników niemieckich, a między niemi tak liche i zakazane jak „Kaffehauszeitung," „Salonzeitung" itp. A już nie ma najlichszej knajpy, gdzieby nie było przynajmniej jednej Pressy, Tagblattu i Kikeriki.

Dla czego tak jest? Czy tak wielu mamy pośród siebie Niemców? Czy to żywioł izraelicki, mało jeszcze przejęty polskością, tak licznego dostarcza niemieczczyznie kontyngensu czytelników? Nie, nie to jest przyczyną. Sama to publiczność polska winna, że ją karmią wszędzie niemiecką strawą. Nie upomina się o polskie pisma, przyjmuje to co jej dają i przyzwyczajona do obcego pokarmu, nie myśli o skutkach, jaki zalew niemieckiego dziennikarstwa sprowadza na Galicyą.

Skutki to fatalne. Sami nie wiemy kiedy i jakim sposobem wciągamy w siebie zgniłe soki wiedeńskiego życia; zasmakowaliśmy w skandalach, cenimy dowcip często płaski, więcej niż prawdę i szczere przekonanie, interesujemy się

jakimś łotrem à la Francesconi, dla tego tylko, że nim się wiedeńska gawiedź interesuje, zmuszamy nasze dziennikarstwo do tego, że naśladuje ton wiedeńskich dzienników, żeby się tylko nam podobać. Przestajemy być sobą, stajemy się tylko niewyraźnem echem jakiejś dalekiej wrzawy.

Przewidujemy zarzut, jaki nam mogą zrobić nałogowi czytelnicy niemieckich gazet. W tych gazetach, powiedzą nam, mamy więcej i lepiej podane wiadomości, artykuły zręczniej i gruntowniej opracowane, fejleton bardziej urozmaicony. Przypuśćmy, że tak jest, że dziennikarstwo nasze stoi na dość niskim jeszcze stopniu rozwoju, że brak mu wytrawnych pracowników — i spytajmy czyjaż to wina, jeżeli nie tych, co z uszczerbkiem dla własnego dziennikarstwa popierają obce? Zresztą dziennikarstwo nasze z każdym rokiem okazuje znaczny postęp, a my powinniśmy pamiętać, że jest ono dla nas lepszem od niemieckiego dla tego, że jest swoje. Inna rzecz w nauce; nauka jest kosmopolityczną, nie nosi barw narodowych, nie ma rasowych namiętności. Dziennikarstwo jako odbicie pełnym strumieniem płynącego życia społeczeństwa jest i musi być narodowem.

Dla tych, którzy nie robią różnicy między swojem a obcem, nie mamy argumentów i do nich się nawet nie zwracamy. Ale tych, którym choć na chwilę zalega serce troska o losy naszej narodowości, tych wzywamy, aby przy każdej sposobności walczyli z zalewem niemieckiego dziennikarstwa, jako z jedną z najgroźniejszych plag, które trapią narodowość polską w Galicyi.

SZKLANNY CZŁOWIEK.

Nowella

J. LAMA.

(*Ciąg dalszy*).

Pojedynek jest rzeczą, z którą nigdy nie wypada żartować. Nabiera on szczególnej wagi, jeżeli nie mając jeszcze dwudziestu lat, jest się wyzwanym przez człowieka, który ich ma trzydzieście, i był oficerem huzarów. Rozumie się tedy samo przez się, że rozważyliśmy propozycję p. Leszczewskiego gruntownie. Jakkolwiek roztropność nakazuje w takich wypadkach wtajemniczać jak najmniej osób w toczące się negocyacye, podaliśmy sprawę pod opinię większego grona młodych i honorowych ludzi. Innemi słowy mówiąc, odbył się w mojem mieszkaniu sejm walny, na którym po bardzo burzliwych i długich dyskusyach uchwalono, że ponieważ satysfakcya honorowa należy się tylko ludziom honorowym, ponieważ, dalej p. Władysław Habdank Podborski zarzucił p. Krzysztofowi Leszczewskiemu infamię, ponieważ, nakoniec, p. Władysław Habdank Podborski niekonsekwencyi popełnić nie może więc odmawia satysfakcyi p. Leszczewskiemu. Jest to nie pierwsza odpowiedź tego rodzaju, która była daną w Galicyi i Lodomeryi, nie pierwszy też raz następstwem odmowy był długi szereg najrozmaitszych poselstw, gróźb, oświadczeń i ambarasów różnego rodzaju. Oczywista rzecz, iż przyszło do sądu honorowego, który rozszedłszy się parę razy bezskutecznie, uchwalił w końcu w sposób, mojem zdaniem, sprzeczny z logiką, że opinia wyzwanego o wyzywającym, nie jest wyrokiem, od któregoby nie było apelacyi do wyższego trybunału kul, szpad i pałaszy. W skutek tej uchwały p. Leszczewski powtórnie, i w wszelkiej formie, zażądał wyjaśnień od p. Podborskiego, i tym razem przez moje usta i przez usta wspólnego naszego przyjaciela, Olgierda Wacławskiego, otrzymał odpowiedź, że p. Podborski odmawia wszelkich wyjaśnień, a natomiast gotów jest do wymiany tylu strzałów, cięći pchnięć ile się p. Leszczewskiemu podoba.

— Muszę zwrócić uwagę pańską—rzekł mi sekundant przeciwnej strony, że p. Leszczewski strzela nadzwyczaj celnie, i wybornie robi pałaszem. Jaskółki strzela w lot!

— Przyjaciel mój Podborski jest większym od jaskółki, i nie lata, więc zadanie p. Leszczewskiego będzie znacznie ułatwione — odparłem z dumą, i muszę wyznać, że w tej chwili czułem się wielkim, bohaterskim, jak Cambronne pod Waterloo. Nic tak nie podnosi umysłu człowieka, jak sposobność wygłoszenia rycerskiego sentymentu, zwłaszcza na rachunek przyjaciela.

— Jednakowoż, ja sądzę — mówił dalej sekundant przeciwnej strony — rzecz dałaby się bardzo dobrze załatwić bez rozlewu krwi. P. Podborski mówił ponoś, na owym wieczorze u p. Pstrzykalskiej, tylko o infamii w ogóle... Niechajby więc oświadczył, że to, co mówił, nie odnosiło się do p. Leszczewskiego...

— Aha! pomyślałem sobie: strona przeciwna jest w położeniu państwa, które trochę zbyt pospiesznie zmobilizowało swoją armię, i szuka sposobu wycofania się z honorem! Nic z tego nie będzie! Mój panie, odparłem głośno, p. Podborski upoważnił mię tylko do oświadczenia, że tego, co powiedział, nie cofnie pod żadnym warunkiem, i że jako wyzwany, mając wybór broni, wybiera pistolety. Naszą rzeczą jest tylko oznaczyć czas i miejsce spotkania.

Takie było w istocie polecenie, które otrzymałem był od Władysława. Przy tej sposobności oświadczył on mi, jak pamiętam, po raz pierwszy, że jego zdaniem honor jest jak szkło, które się tłucze za najmniejszem trąceniem. Słowa te jego utkwiły mi w pamięci, i od tej pory nazwaliśmy go szklannym człowiekiem. Co się tyczy samego porównania honoru z szkłem, muszę wyznać że wydaje mi się ono niezbyt trafnem, nie słyszałem bowiem, ażeby się kiedy udało naprawić stłuczoną szklankę strzałem z pistoletu, podczas gdy widziałem już niejeden honor, który wytrzymał taką reperacyę i był potem „jak nowy.“

Przeciwnicy strzelali się, na komendę, z odległości piętnastu kroków. Pistolety były nabite kulami, los chciał wszakże, że nikomu nic się nie stało. Wróciliśmy w tryumfie do miasta, gdzie z gorączkową niecierpliwością oczekiwano rezultatu walki, jak zwykle bowiem, z wyjątkiem władzy, do której należy czuwanie nad spokojem i porządkiem publicznym, nie było nikogo, komuby najdrobniejsze szczegóły spotkania nie były z góry znanymi. Nie obeszło się oczywiście bez śniadania, po wymianie strzałów bowiem Władysław i jego przeciwnik podali sobie ręce, i nie było już między nimi mowy o infamii. Spostrzegłem wszakże, że od tego czasu honor Władysława stawać się począł coraz bardziej szklannym. Jednem z bezpośrednich następstw tego zjawiska było, że nie mógł skończyć studyów. Pp. nauczyciele i profesorowie, jak zawsze, tak i wówczas, okazywali nadzwyczaj mało względności dla delikatnego uczucia honoru swoich słuchaczy, i młodzieniec obdarzony takiem uczuciem narażony bywał na bardzo brutalne nieraz uwagi z powodu np. niedostatecznej „preparacji“ greckiej, albo z powodu pomyłki w dzieleniu ułamków dziesiątkowych. Co zaś najfatalniejsza, to, że panowie ci, mieszczańskiego zwykle lub niższego jeszcze pochodzenia, nie mają najmniejszego pojęcia o wymaganiach obrażonego honoru, i że w danym razie o satysfakcyi jakiejkolwiek mowy być nie może. Z tego też powodu większa część naszej dobrze urodzonej młodzieży, doszedłszy do wieku, w którym człowiek staje się świadomym tego, co winien sobie i swojemu stanowisku, widzi się zniewoloną opuścić szkoły, i fatalne te stosunki trwać będą póty, póki pp. profesorowie albo nie nauczą się, jak należy postępować z młodymi dżentelmanami, albo też nie będą wybierani z pomiędzy tych warstw społeczeństwa, z których członkami dobrze pojęty punkt honoru pozwala mieć *des rencontres* tego rodzaju, jak powyżej opisane zajście między Władysławem a p. Leszczewskim.

Na nieszczęście, nigdy podobno nie przyjdzie do tego, trudno bowiem wymagać od żartkiej krwi rycerskiej, by gnuśniała na katedrze uniwersyteckiej, a już o gimnazyalnej, nie wspominam wcale. P. Stanisław Tarnowski jest rzadkim bardzo wyjątkiem, przypuszczam zresztą zawsze, że tylko dla oryginalności został profesorem, jest to rodzaj sportu, jak każdy inny, ale trudno, by mu się poświęcano tak powszechnie, jak szlachetniejszym zajęciom *turfu*. Ale też przypatrzmy się, jaka to różnica między p. Stanisławem a innymi profesorami z profesyi. Nie słyszałem nigdy, ażeby któremu ze słuchaczy swoich powiedział, że „kłamie jak pies,“ albo też, by go nazwał „zdechłem bydlęciem,“ epitetów tych udziela on tylko nieobecnym lub zmarłym poetom niskiego pochodzenia. Powiadam wyraźnie: niskiego pochodzenia, bo niechaj mi kto powie, jakiego Pol był herbu, a co się tyczy Wiktora Hugo, to jego mniemane bretońsko-lotaryngskie szlachectwo wydawało mi się zawsze bardzo wątpliwem i podejrzanem. Z poetami tej dystynkcyi, co śp. Zygmunt hrabia Krasiński, p. Stanisław obchodzi się zawsze, jak dżentlman z dżentlmanami.

Okoliczność, którą tu podnoszę, każe mi podwójnie żałować, że zniesiono po największej części szkoły, w których nauk udzielali sami duchowni. Z księdzem jest inna sprawa — obraza honoru z jego ust, jest jak obraza wyrządzona przez kobietę — może ona boleć, ale skoro wszelka myśl o krwawej satysfakcyi jest tu z góry i sama przez się wykluczoną, więc też i na honorze nie zostaje żadna plama. Na nieszczęście, oprócz pół-gimnazyum bazyliańskiego w Buczaczu, które jest nadto *genre canaille*, został nam jeden tylko konwikt OO. jezuitów w Tarnopolu, zakład prawdziwie pożyteczny, któremu też szlachta chętnie powierza wychowanie swoich dzieci, ażeby je ochronić

od konfliktów, o jakich wspominam. Na nieszczęście dalsze wszakże. nie mamy najpierw dotychczas w całym kraju jezuickiego uniwersytetu, ani jezuickiej techniki, i tym sposobem, utrzymuję to śmiało, przystęp do wyższych nauk jest dla dzieci naszych po prostu zamknięty, jeżeli ich nie możemy wysłać za granicę. Co się zaś tyczy konwiktu tarnopolskiego, to ma on obok nieocenionych swoich zalet tę jedną wadę, że utrzymanie chłopca jest nadzwyczaj kosztownem, i że nie każdego stać na to. W tem położeniu znalazł się także Władysław.

Cała jego scheda po ojcu i po matce wynosiła śmiesznie małą sumę, zaledwie 5000 złr. monetą konwencyjną, a i tej, pomimo wszelkich starań opiekuna, sąd nie pozwolił ruszyć na przyzwoite wychowanie młodzieńca, przeznaczając na ten cel tylko odsetki w kwocie 250 złr. Wyrobiono mu wprawdzie obok tego, stypendyum szlacheckie, ale to niedługo trwało, z powodu owej niemożności pożycia z źle wychowanymi profesorami plebejskiego pochodzenia, i przyjaciel mój, którego losy opowiadam, zaraz na początku swojej karyery w świecie znalazł się w bardzo fatalnem położeniu, jak to każdy rozumny człowiek sam ocenić potrafi.

(C. d. n.)

KILKA SŁÓW

O MALARSTWIE

Odczyt Henryka Rodakowskiego.

(*Ciąg dalszy*).

Jakkolwiek penzel malarza w rozumie musi być maczany, jak gryfel Arystotelesa, to przecież sztuka głównie uczuciem do nas przemawia. Ona nie umie jak słowo, logicznym wywodem zmusić do przyjęcia danego założenia. W niej argumentu od formy odłączyć nie można.

Sztuka niczego nie dowodzi i niczego dowieść nie może, tylko tego, że są w człowieku pewne struny, na których ona najświetniejsze odgrywa symfonie. Sztuka tylko wrażenie ma na swoje usługi. Tem wrażeniem uderza o pewne tętno duszy naszej, która wtedy jakby skrzydła niewidzialne rozwija i w wyższe nas unosi sfery. Nietylko myśl wzniosła, ale głównie dar wzruszenia nas pewną siłą artystyczną stanowi sztukę, i to ją różni od wszelkiego innego objawu ducha ludzkiego. Bo gdy się bliżej przypatrzymy, to twórczość malarza składa się z dwóch części: z tego, co ze źródła duszy płynąc w jego wyobraźni przybiera kształty plastycznie zrozumiałego obrazu; i ze zdolności odtworzenia tego, okiem ducha widzianego obrazu, na płótnie. Pomysł sam nie wystarcza, musi on mieć istotę sztuki plastycznej. Inaczej każdy poeta byłby malarzem, dość by mu dać penzel w rękę, by tworzył arcydzieła, a jednak tak nie jest. Wielkim artystą tylko ten umysł, któremu się świat stroną malowniczą, obrazową, przedstawia, który czuje odcienia tak głębokie a tak subtelne, że dla nich ton za mało a słowo za dużo ma precyzyi, odcienia jakie tylko penzel i dłuto tłumaczyć umieją, a który zarazem ma w sobie ten artyzm, za pomocą którego jest w stanie, bogactwa swej duszy, na zewnątrz nam odsłonić. Więc nie głęboka filozoficzna abstrakcya, nie nauka i wierność historyczna, nie poszukiwania archeologiczne i stanowisko patryotyczne lub humanitarne, stanowi wartość geniuszu artystycznego, lecz właśnie ta, formą i kolorem do nas przemawiająca potęga, która się innym nie daje objąć wyrazem jak artyzm.

Że wielcy mistrze byli od natury wszechwzględnie hojnie obdarzeni, to wyjątkowa łaska nieba. Ale nie to, że Leonardo da Vinci był ogólnym geniuszem, znakomitym matematykiem, zrobiło z niego malarza Jocondy. Nie to, że Michał Anioł obwarował Florencyą zrobiło, że malował proroków, ale ten promień prometeuszowego ognia, za pomocą którego w jego duszy powstały postacie niezmiernej potęgi i odżyły widocznie na płótnie dla rozkoszy i nauki przyszłych pokoleń.

Jako przykład, przytoczę najświetniejsze dzieło Rafaela: „Szkołę ateńską“. Jeżeli w uczonem dziele pana Passavant czytamy, że ta karta przedstawia historyczny rozwój filozofii greckiej, jeżeli różne nazwiska filozofów i wykład ich systemów znajdujemy, które nam pokazują, jak bystrym i sprytnym umysłem mistrz swoje grupy zestawił, to jeszcze o obrazie nie mamy najmniejszego wyobrażenia. Bo nic nie jest w stanie oddać potęgi artystycznej, i li tylko artystycznej, która z tej ściany świeci, jako najjaśniejsza gwiazda na firmamencie artystycznym. Cały rozkład tak przepysznie wspaniały! Linia ogólna kompozycyi tak błogo się przeplata w swym ruchu falistym, oko i uczucie nasze tak wdzięcznie z jednej grupy na drugą przeprowadza, że radośnie się w nas rozwija najszlachetniejsze poczucie piękna. A każda figura z osobna tak pysznie się zrodziła w umyśle Rafaela, w proporcyach tak ukończonych, każdy ruch tak uroczy, każda draperya tak wspaniale ułożona, a charakter każdej postaci taki wzniosły, że nie darmo boskim powabem nazwano geniusz malarza z Urbino.

Takim artystom jedna figura wystarcza by w niej skupić całą potęgę sztuki. Perseusz Benvenuta Cellina, Mojżesz Michała Anioła, jego prorocy i Sybille, Rafaela alegorye: wiara, sprawiedliwość poezya i umiejętność, jego siła, mądrość i wstrzemięźliwość, są to arcydzieła, jakich sztuka ludzka już drugi raz nie wydała. Lecz tam nie bystrość wynalazku, nowego sposobu uosobistnienia myśli nas zachwyca, bo każda figura ma napisane literami co przedstawia. Ale cóż tam za czarujący układ! Co za rytmiczne niewymownem zachwyceniem nas napełniające, kołysanie wszystkich linii! Jaką poezyą cała postać i każdy szczegół oblany! Co za ruchy aniołków! O! tu już słowo nie wystarcza nie tylko moje, słabe i niewprawne, ale wszelkie słowo, by dać wyobrażenie o błogiem a wzniosłem wrażeniu, jakie te figury na duszę nasza wywierają.

Lecz nie tylko figury, których znaczenie jest wyraźne, ale takie o których nie wiemy nawet co robią, bo są studyami do obrazów, zachwycają nas wysokim artyzmem. Nawet części figur, przez niezmierne uczucie, jakie w nich żyje, mogą nam dać najwyższe poczucie sztuki. By nie przytaczać innego przykładu jak Torso watykański, który bez głowy, bez rąk i bez nóg podziwienie całego artystycznego świata wywołuje, a o którym Michał Anioł powiedział, że się na nim rzeźby nauczył. Pewnie że trzeba wysoko wykształconego poczucia piękna, by uczuć ten przepych. Tak samo jak Homera i Dantego nie każdy umysł pojmie, i nie każdego serce się radośnie wzruszy przy ich śpiewie, tak też nie możemy żądać, my artyści, by najświetniejsze utwory sztuki zaraz przemawiały do każdego serca. Ale wymagać możemy, żeby kto o sztuce sądzi, wiedział jakiem jest kapłaństwem owa sztuka odrodzenia. Że jej siła, jej potęga nie leży w poszukiwaniach kronikarskich, lub w sądzie historycznym, lub w filozoficznej spekulacyi, ale li i jedynie w tem niezrównanem poczuciu artystycznem, na którego skrzydłach nas unoszą w przestrzenie najpoetyczniejszych artystycznych rozkoszy.

Więc nietylko co te postacie, przez mistrzów stworzone, robią, ale głównie jak to robią, stanowi nieosiągnioną ich wyższość. Ruch, proporcje, wyraz, piękność kształtów, urok, słowem to poczucie piękna, które uważać trzeba za główną i jedyną podstawę artyzmu. Dla tego wykonanie i myśl artystyczna są tak złączone w sztuce plastycznej, że ich rozdzielić absolutnie niepodobna. Inaczej by nas niezła kopia również zadowolniła. Myśl malarza i w kopii przemawia. Lecz czegóż tam brakuje? Otóż właśnie tej niepojętej tajemnicy, za pomocą której wielki mistrz przelał duszę swoją na płótno — jego techniki.

Słyszałem zdanie, że technikę nabyć można. Jeżeli tylko o to idzie, paletą lub dłutem cośkolwiek takiego zrobić, by poznać w tem twarz ludzką lub figurkę człowieka, to taksamo jak się ortograficznie i gramatycznie pisać uczymy, tak samo ołówkiem i dłutem władać się nauczyć możemy. A pewnie niejedna z pięknych pań, które mnie łaskawie słuchają, bardzo ładne i urocze rysuje, lub maluje, obrazki. Lecz pozwólcie mi tu powiedzieć, że od tego szkolnego szablonu dyletantyzmu, do tego stopnia, gdzie technika staje się tłómaczem duszy artysty, gdzie dzięki jej odczuć możemy cały ogrom geniuszu, jest cała przestrzeń, jaka dzieli wprawę i zręczność od twórczości. Tej techniki nauczyć się nie może, komu niebo nie wlało iskry artyzmu plastycznego. Wiemy ile Goethe sobie w tym względzie darmo zadawał pracy, a przecież braku myśli poetycznych i geniuszu mu zarzucić nie można. To też każdy z wielkich mistrzów stworzył sobie technikę indiwidualną, która wyraża całe jego uczucie. Cóżby Perugino robił z techniką Rubensa? lub Rembrandt z techniką Fra Angelica? Technika, to jest wypływ bezpośredni uczucia malarza; najwłaściwsza istota artystycznego uzdolnienia, nierozłączna od twórczości ducha.

Sztuka, jak brylant sypie tysiące iskier i światłem napełnia oczy i duszę. Tak samo jak rznięty kamień mnóstwem błyszczy połysków, tak artysta najróżniejsze musi posiadać zalety, by się wznieść do wysokości mistrza. A że indywidualności artystyczne składają się z najróżniejszych kombinacyi tych przymiotów, więc też się wyrodziły różne im odpowiadające kierunki i szkoły.

Przyroda, największy artysta, działa na nas kształtem i barwą, i tymi środkami umie nas wprowadzać we wszystkie odcienia usposobień, od gorącego nabożeństwa do głębokiego smutku lub wesołości. Pozwólcie mi tu przytoczyć przykład.

Pamiętam, wracając z Sorrento do Neapolu widziałem zachód słońca, który mi niezatarte zostawił wspomnienie. Niebo złotem było oblane, a chmury jak skały z perłowej macicy, tak gęsto się piętrzyły w gorącym blasku, że niewymowne wywierały wrażenie; wtem rozstąpiły się, a coraz głębiej, coraz dalej, coraz jaśniej, odsłaniała się lśniąca nieskończoność! Zdawało się że musimy ujrzyć gloryę! To też wszyscy byliśmy

*

w niesłychanie podniesionym, prawie nabożnym nastroju. Tak silne wzruszenie duszy naszej tylko światło i kolor wywołały, forma bowiem bardzo małą w tem zjawisku grała rolę.

Otóż są między artystami jedni, niesłychanie czuli na wrażenie barwy czyli tonu, ci są kolorystami; drugich, do których głównie forma przemawia, nazywamy rysownikami.

Że koloryści nie mogą osiągnąć potęgi wrażenia przyrody, pochodzi tylko ztąd, że ich środki są daleko słabsze, bo paleta nie posiada promienia słonecznego. Co w ich duszy staje kąpane w blasku, oni tłumaczą kolorami, ledwie półcienia dosięgającymi. Tylko kto z paletą walczył, może mieć wyobrażenie, co to za ciemna farbowana ziemia nasze kolory, w porównaniu z iskrą światła. Geniusz tylko wielkich mistrzów robi, że na palecie znajdują owe tony tajemnicze, którymi nas łudzą, jakby mieli ten promień światła, jak gdyby słońce i przestrzeń były na ich usługi. Że więc zawsze kolorysta musi pozostać o tyle za ideałem, jaki się jego duszy objawił, o ile ton palety stoi niżej słonecznego blasku, jest karą nieba za jego prometeuszowską zuchwałość, która już nie jednę łzę zwątpienia i rozpaczy wycisnęła.

Kolorysta w inne struny naszej duszy uderza aniżeli rysownik, i ma coś z harmonijnego wdzięku muzyki w sobie. Bo niezdając sobie wcale jeszcze sprawy, jaki przedmiot obraz przedstawia, przez samo wrażenie tonu, ogólnej harmonii, doznajemy pewnego usposobienia, które albo ponure i gwałtowne, albo świetne i wesołe być może. I tak w innym tonie Tycyan maluje złożenie do grobu Chrystusa, a w innym miłość, lub wniebowstąpienie. Veronesa uczty to roskosz dla oczów już tylko z harmonii tonów, jak pęk przepysznych kwiatów.

Są natury, w których to poczucie tonu góruje nad wszelkiem innem wrażeniem, do których forma prawie wcale nie przemawia. Dla tych w modnym peizażu szerokie otwiera się pole. Peizaż bowiem, jak go teraz pojmują, choć już dawniej powstał, jest dzieckiem naszego wieku, jest dzieckiem cywilizacyi naszej, i płodem odpowiadającym potrzebom dzisiejszym.

Gdy zamożny mieszkaniec Londynu lub Paryża, cały dzień, od rana do wieczora w gorączkowem wysileniu umysłu, wśród kurzu, natłoku i zgiełku, pośród biór i kantorów, w nieustannem natężeniu zestawienia cyfr, obrachowania i trudzenia, nareszcie wraca do domu i znużony tym gwarem i ściskiem rzuca się w fotel, cóż przyjemniej i dobroczynniej na niego działać może, jak widok pejzażu? Na pierwszym planie bujna wilgotna trawa, w cieniu samotnego niemego boru; dalej strumyk, a na łące srokata trzoda, której dzwonki przypominają sielankową ciszę. Wszystko za czem serce jego tęskni. Utworzyła się też szkoła pejzażystów, którzy głównie na oku mają usposobienie uczuciowe jakie natura wywiera. Nie troszcząc się o kompozycyę, co do wyboru przedmiotu, lub piękności linii, im każdy kąt wystarcza, byle do nas przemawiał pewnem kolorystycznem wrażeniem. Corot, Diaz, Français, Troyon są głównymi twórcami tej tendencyi, z której szkoła Monachijska, przenosząc ją na przedmioty rodzajowe, utworzyła to, co Niemcy nazywają *Stimmungsbilder*: Obrazy nastroju.

Jeżeli sobie chcemy zdać sprawę, co to jest *Stimmung*, ten nastrój, to wyobraźmy sobie, że jest noc. Na horyzoncie niebo jaśnieje, a jako ciemna sylweta, w mglistej zatopiona niepewności, rysuje się karczma. Oko się wysila, by rozróżnić kilka koni ze spuszczonymi łbami. Dzidy sterczą w ziemię wtknięte, a wartę odgadujemy obok, jako kłąb ciemny; — spi. Topole nieruchome, zdaleka krzyż na rozstajnej drodze. W karczmie okienko oświecone. Wszystko ciche, ciemne, ponure.

Oto jest nastrój nocy. Żaden ton, żadna forma nie odciągają od ogólnego wrażenia. Otóż w miarę jak najpierw świtać zaczyna, potem się słońce pokaże, później świat swym żarem przeniknie, a nareszcie w purpurze utonie, ciągle nastrój się zmienia. To wrażenie osiągają malarze monachijscy tem, że wszystko inne temu celowi poświęcają. Najłatwiejsza jest taka harmonia szara. Najczęściej też ją napotykamy. Niebo pochmurne, błoto, bryki, konie, wszystko szare i przez mgłę deszczu się przedzierające.

Mimo wielkich talentów, jakie dzisiaj w gronie tej dążności się znajdują, szkoła, która ten nastrój wrażenia stawia za ideał sztuki, poglądając pogardliwie z wyżyn materyalnego powodzenia i uprzedzenia dzisiejszej mody, na tradycye wielkiej sztuki, może mieć tylko trwałość przemijającą.

Lecz wróćmy do mistrzów!

Gdy z naturą czułą na koloryt łączy się usposobienie wielkiego rysownika, wtedy ludzkość się cieszy takimi mistrzami jak Tycyan, Verones, Correggio, Velasquez i Rubens, w których utworach życie płynie w każdej postaci. Puls bije w przezroczystych żyłach nadobnej wdzięcznie oddychającej Wenery. Oni to w wysokim stopniu mają poczucie jakości przedmiotu, który malują, i z głębokiem uczuciem chwytają to modelowanie i tę dokładność tonu, które stanowią życie. Im zawdzięczamy takie czarujące wizye jak Murilla „Niepokalane poczęcie,“ jak Tycyana „Wniebowstąpienie.“ Veroneza „Apoteoza Wenecyi“ lub Rembrandta „Straż nocna.“ W tych arcydziełach jakby chóry anielskiej muzyki,— takie harmonie, ci mistrze swym penzlem spiewają.

Geniusze, anioły, postacie półbogów zaludniają, w tęczowe barwy strojni, świat przepychu, pełen słonecznego blasku, pełen niebieskiej przejrzystości. Oto co geniusz czarodziejski kolorysty umie wywołać na płótno, gdy ton ma za podstawę wielki rysunek i styl wspaniały.

(Dok. nast.)

POWSTANIE POLSKIE
nad
BAJKAŁEM.

Z pamiętników naocznego świadka Z. O.

(Ciąg dalszy.)

Wnikając następnie w stan materyalny więźnia syberyjskiego, odsłoni się rozpaczliwa nędza, powtarzająca się chyba w chwilach zupełnego wytępienia jakiegoś narodu, przeznaczonego losami kierującymi ludzkością na zagładę!

Podróż blisko 10 000 wiorst, odbywana piesz wśród najuciążliwszych zmian powietrza i gwałtownych mrozów, w niej głód, etapowe więzienia przesycone wilgocią — duszące, najokropniej utrzymywane, niektóre tak małe, że poprzedzielano je w połowie ścian ławami, aby utworzyć leże dla dwa razy większej ilości więźniów, niż się w nich rzeczywiście mieścić mogło; nędzna aresztancka odzież nie zabezpieczająca od dotkliwego zimna,*) oto towarzysze eksterminacyjnej wędrówki na północ, której trakt przez wiek cały wydeptał się stopami wygnańców Polski.

Na tej drodze trwającej rok cały, jeszcze dziś się spotyka straszne ze wspomnień miejscowości, przeznaczone jakby na zagładę wlekących się w Sybir Polaków.**) Są to miejsca śmiertelności, w których zaród zarazy przenikając powietrze wdzierał się do więzień i tam z całą gwałtownością więźniów dziesiątkował. Do uzupełnienia obrazu niedoli, potrzeba jeszcze dodać zwierzęce obchodzenie się władz i żołdactwa, z jakiem się spotykał więzień na każdym etapie, w każdem gubernialnem lub powiatowem mieście. Niech za okaz tych swywoli i bezpraw moskiewskich posłuży list jednego z kolegów pisany z drogi do rodziny; przytoczymy go w całości i bez żadnych zmian, a fakta w nim jeszcze będą za mdłe w porównaniu z tem, czego się dopuszczali Moskale na bezbronnych więźniach, ginących z nadmiaru cierpień i wycieńczenia sił!

Małmyż w gub. Wiatskiej 29. Oktobra 1863 r.

„Najdroższa rodzino! Oto już i pół roku ubiegł, jak los wydarł mnie z pośród Was! Pół roku jak dźwigam niewolę, choć zawsze czasową! Przykro to, prawda, być oddalonym od kraju i swoich, ale stokroć przykrzej tracić czas tak drogi na próżno, być w zupełnej bezczynności i zaumierać moralnie. Przez pół roku zaledwie kilka razy miałem sposobność uwiadomić Was i to dość treściwie, krótko. Pisałem z Krzemenczuga, Charkowa, Białogrodu, Kozłowa i Kazania, nie jestem jednak pewnym czy kartki moje Waszych rąk podochodziły. Dziś więc stojąc blisko tygodnia na jednem miejscu z przyczyny łamiących się lodów na rzece Wiatce, o 10 wiorst odległej od naszego locum — miasta Małmyża — spieszę choć w krótkim zarysie dać Wam

---

*) W Kijowie komendantura forteczna ekwipowała więźnia na drogę zimową w następne rzeczy: 2 koszule, u których rękawy czworograniaste do łokcia ręki sięgały; 2 dolne ubrania okrywające zaledwie kolana. 1 spodnie z lichego sukna szarego, 1 płaszcz (szynel) z łatą żółtą na plecach, jako znamieniem sybiraka, 1 kożuszek króciutki, 1 czapka okrągła, 2 kawałki sukna do obwinięcia nóg, 1 trzewice i 1 worek. Te wszystkie rzeczy były w złym gatunku, jako dostarczane przez liwerantów znających się dobrze z komendanturą; za to sumiennie były zrobione kajdany ważące przeszło 6 funtów i dobrze na nogach osadzone.

**) Do takich miejsc należała Perma, gdzie w przeciągu kilku tygodni z górą 100 osób na tyfus umarło. Ekaterinburg pod Uralem w zimie 1864 na 1865 do stu pięćdziesięciu więźniów zakończyło życie, a więźniowie, z którymi tamże połączyliśmy się później, opowiadali nam, że przyczyną tej śmiertelności miała być zbrodnia tam pozostających w więzieniu złodziejów i rozbójników, którzy wytruwać mieli Polaków, aby umierających można łatwiej okradać. Pomimo wszelkich zapewnień przez samychże tamtejszych Moskali, że prawdziwem było uorganizowanie się opryszków w więzieniach — trudno jednakże wierzyć w tąk monstrualne zbrodnie, bowiem w rozbójnikach, którzy nam ciągle w drodze towarzyszyli widzieliśmy bardzo wiele serca i litości. Położenie tych wyrzutków społeczeństwa, również jak nasze nieszczęsne, snać wpływało na złagodzenie ich dzikości. Wolimy zatem wspomnianą śmiertelność w Ekatęrinburgu zaliczyć do przyczyn rozwielmożnionej epidemii. Podobnież Tobolsk, chociaż posiadał dobry szpital i w nim wzorowy porządek, co istotnie było zasługą ówczesnego cywilnego gubernt. Zenowicza, pochłonął wiele ofiar. Tak samo Tomsk i Krasnojarsk policzyć można do miejsc, w których wielu pogrzebanych zostało, opuszczając już inne drobniejsze, gdzie zostawała zawsze duża liczba więźniów nie mogących dalszej drogi odbywać i ta sama prawie liczba wymierających w skutek braku pomocy lekarskiej i środków leczniczych.

pojęcie drogi Syberyjskiej, po ktorej tysiące braci naszych wlecze się na wygnanie."

„Jaką była droga w Rossyi południowo-wschodniej, nim doszliśmy do Krementczuga, musicie już wiedzieć. Z Kremenczuga przyłączono nas do zbójców i złodziejów, i w ich to jedynem towarzystwie szliśmy aż do Kazania po dzień 11. Oktobra.

„Po wyjściu z Kremenczuga w 8 dni przyszliśmy do Połtawy, tam chcieliśmy pozostać choć na tydzień, bo jeszcze z tamtąd chcieliśmy kraj nasz pożegnać w spokoju, samotności — choć westchnieniami i łzami. Według przepisów tiuremnych prosiliśmy smotritela (dozorca więzień) aby zawezwał do nas prokuratora, lecz napróżno. Ponowiliśmy nasze żądanie przed etapnym oficerem, lecz i tu jak groch o ścianę, a na nasze zapytania, dla czego nam tego odmawiają, do czego prawo mamy, odpowiedziano: „Wy po barbarzyńsku podnieśliście broń przeciw Carowi, a więc i z wami potrzeba po barbarzyńsku postępować", i tak odprawiono nas z niczem. Nie mogąc widzieć prokuratora, którego chcieliśmy prosić o pozwolenie zostania w Połtawie, ruszyliśmy dalej do Charkowa, ciągle w pochodzie dźwigając jedni kajdany, drudzy łańcuchy na rękach. Na ostatnim noclegu przed Charkowem, oficer powiada nam, że otrzymał rozporządzenie aby nie zdejmować z nas łańcuchów ani podczas noclegów ani w czasie dniówek.*) Zdziwiło nas to nie mało i postanowiliśmy po przybyciu do Charkowa, prosić tamtejszego prokuratora, aby nam wyjaśnił czy my w dalszej drodze mamy żądać zdjęcia łańcuchów w czasie noclegów, czy też nie. Prokurator przyszedł, — ale łańcuchy swoją drogą na nas pozostały, — a musicie wiedzieć, że to dla nas jest bardzo ważnem, ponieważ niemi skuwa się dwóch razem, przez co wynika nie jedna nieprzyjemność. Nadto w Charkowie dano nam pieniędzy na życie (karmowyje) 4 kopiéjki dziennie, gdy pierwej mieliśmy 7 i pół. Tak doszlismy do Woroneża. Przechodząc Kurską gubernię w mieście powiatowem Korocza wypadła nam dniówka, było to 14. lipca 1863 r. Idąc długi czas w jednej bieliźnie, stanąwszy u bramy więzienia prosiliśmy oficera, aby nas kazał rozkuć, aby można było nieco otrząsnąć się z brudu, t. j. umyć się i przewdziać bieliznę. Oficer odpowiedział, że nie on nas zakuł i nas rozkuwać nie będzie. Widząc jednakże słuszność naszych żądań, przywołał żołnierzy i kazał rozkuć na pół godziny. Żołnierze nie usłuchali oficerskiego rozkazu i on też więcej nie nalegał. Zażądaliśmy wtenczas strapczego (urzędnik sądowy), a gdy oficer odmówił, powiedzieliśmy, że zawsze środki znajdziemy ażeby mówić ze strapczym, a wówczas i oficera skarżyć będziemy. Oficer rozgniewany robi raport do naczelnika powiatu, że Polacy buntują się. Tamten zaś nie przekonawszy się o prawdzie doniesienia oficera, każe w mieście bić w bębny na trwogę. Lud zaczyna zgromadzać się przy etapie, on zaś sam zebrawszy huzarów i nieco piechoty z nabitą bronią podstąpił ku bramie etapu, a wyprowadziwszy strzelców naprzód, kazał im karabiny w otwory oparkanienia pozakładać i zaryczał głosem straszliwym: „Wydajcie buntowników Polaków, bo każę strzelać!" Partya więźniów zmięszała się nieco, my zaś myśląc że mamy do czynienia z człowiekiem, któremu można wypowiedzieć wszystko, tak jak byliśmy boso, w jednych koszulach, idziemy do niego wprost w celu wywiedzenia się o co rzecz idzie. Zaledwie zbliżyliśmy się do drzwi, gdy nas porwano, poszarpano koszule i przy odgłosie bębnów w otoczeniu ludu i żołnierstwa, poprowadzono nas przez plac do Ostrogu. Tam dopiero na dziedzińcu zrzucono nam kajdany i w mgnieniu oka porwano Julka [1]), pałki zagwizdały w powietrzu spadając jak grad na ciało nieszczęśliwego! Sprawnik przytem podniecał sołdatów wołając: „*Biejtie chrabryje gusary, nieżaléjtie, eto Palaki wragi waszyje!*" Żołdactwo starało się zadosyć chęciom jego uczynić tak, że Julka prawie nieżywego zaniesiono do Ostrogu. Po nim ja [2]) a po mnie Lucyan [3]). Wzięliśmy więcej niż po sotce pałek i krew polska polała się po brudnych złoczyńczych brukach moskiewskich. W szpitalu nie chciano nas zostawić. Naczelnik sam przybył do nas z przeprosinami, że nie wysłuchawszy dobrze i nie rozpytawszy się, skrzywdził nas w ten sposób; przysłał jeszcze potem dwa razy strapczego, aby ten w imieniu jego także nas przeprosił, z dodatkiem, że choć się skarżyć będziemy, to nic nie wskóramy etc. etc."

„Naczelnik chcąc swe łajdactwo uniewinnić, zapisał każdemu z nas w Statiejne Spiski *za bunt i grubiaństwa cielesnie ukarani*, i tak 16. lipca ledwie żywi ruszyliśmy dalej w drogę etc. etc."

Podobnych faktów można dostarczyć wiele, gdyby dla ich podobieństwa nie było to zbytecznem. Wszędzie ta sama niepojęta mściwość Moskali, to samo znęcanie się, a zawsze świeże i nienasycone, bo nowe władze, nowi siepacze pracowali nad ich wynajdywaniem. Tak wycieńczone drogą, złamane uciskiem, przerzedzone zjadliwemi febrami i gorączkami dochodziły resztki do Syberyi, poważne w każdym razie, gdyż od 1862 r. do 1868 znajdowało się Polaków tamże około stu kilkudziesięciu tysięcy [4]), nie licząc w to tych, którzy wyrokami tak zwanych sądów *Administracyjnych*, (inni sądzeni byli wojskowymi czyli polowymi sądami), wysłani zostali na mieszkania w gubernie rossyjskie przed Uralem. (C. d. n.)

*) Kajdany są to obróże na nogi, gdy tymczasem łańcuchy były albo przymocowane do pasów albo związywały ręce 2 lub 4 więźniów razem. Te łańcuchy na noclegach i na dniówkach, gdy straż była ludzka, zdejmowano i gdy znowu miało się udać w pochód. na nowo nakładano i w nie zamykano więźniów. Były one w każdym razie dogodniejsze od kajdan, gdyż tych ostatnich nie można było zdejmować ze siebie. (Przyp. aut.)

[1]) Julian Swięcicki skazany na 20 lat do kopalń.

[2]) Felicyan Lachowiecki skazany na 15 lat do kopalń.

[3]) Lucyan Mecherdycz skazany na 15 lat do kopalń.

[4]) Najdokładniejsze spisy wysłanych Polaków, mogące być bez długich szperań na jednem miejscu przejrzane, są w Tobolsku, jako w punkcie przez który, z małemi wyjątkami, wszyscy przechodzić musieli. Piszącemu udało się widzieć podobne spisy tamże w 1865 r. w końcu października, podówczas liczba wysłanych dochodziła 80.000.

Przyczynek do życiorysu

Pawła Piaseckiego

PODAŁ DR. ZYGMUNT CELICHOWSKI.

(*Dokończenie*).

Nie taka tesz przymówka w Historiey, coby zarobieła na obelżywe pasquille, powiedzieć, że *rudis y morosus;* [5]) ciuilia to. Samemu chronographo często przymawiano, że morosus a nie czyni tego criminałem y by nie to, że mu Pan Bóg dał także literas światu wiadome, iakich Bobola nie miał, tedyby się nie frasował, gdyby rzeczono, że rudis, lecz matki nie wspominaicie. A wszystkiey Polszcze wiadomo, że nie był phylosoph Bobola y morositas taka, na którą publice były uskarzania y sam autor doznawał iey i łatwe na to documenta, pewnie łatwieysze, nisz Jezuitom dowodzić, że która Gromadzka była bez wstydu y musiałaby bydź nie iedna, bo nieiedna była w domu Piaseckich Gromadzka.

Ja nie chcę bydź conuitiatorem, nie bywałem y nie iestem w takowey szkole, ale łatwoby o przymówki, nie anonimos, ale ex querelis publicis Rokoszowych, wiadomo tesz iawnie, że mu successora podobnego szukano y dano takich, co trzey ieden po drugim dla niesposobności nie mógł ani ukazać się do Dworu — to iest iawno każdemu.

Że X. Bembus Jezuita chwalił Bobolę, y autor go nie gani, nie iest institutum iego tak lekką materią tractować, vitas privatorum, Herbarzom to zostawuie, wyiąwszy, gdzie concurrunt damna vel commoda publica, kto ich przyczyną, ad instructionem seculi futuri musi Historyk y personas wspomnieć.

Na pogrzebach tesz nie ganią nikogo pospolicie: ale nie wielkie zalecenie od Xdza. Bembusa, który tesz miał swoie naenos y był relegatus ode dworu dla wielkich przyczyn, a publicum to trudno inficiari, nie dla tego, że Superiores revocowali, bo oni żadnego nie revocuią inuito Ruge.

Ba y samemu Wmci przed czasem kazano przestać uczyć królewiczow, substituowano Xiędza Heniciusa, samiż Jezuici instigowali o to, a mianuie że inaczey X. Walenty Seidelius, niechwalono Wmci doctrinam Polityki Lipsii. Boli Pasquilla, co wspomniano: Promotią Jezuicką Bobola przyszedł do łaskiey królewskiey. A on sam gloriabatur z tego y privatim y publice u stołu, wspominając suae fortunae vices powiadał, że (post longum postliminium długo niemiał u Dworu mieysca, u Radziwiłów służył). Radziwił Sierotka promowował go u króla, potym Rozrażewski Biskup Kujawski, a nie mogli nic sprawić, asz się udał do Jezuitów Bernarda y Skargi, ci mu ziednali służbę pokoiową.

A Jezuici nie tylko się przeli tego, że promowowali, ale mieli pro hoste takich, co do nich non recurrebant po promotią, y to was zawsze bolało do Autora, że u Was promotiey nie szukał ani u Bobole. Fałszywie to napisał Pasquillus, żeby kiedy Bobole autor venerował, wszystkiemu Dworowi było iawno, że mu nic nie deferował y nigdy obiadu u niego nie szukał.

Jakosz śmiecie mówić: Autor favet haereticis: kiedy insectuie sicarios et conspiratores in necem principum a allequie na to decreta conciliorum oecumenicorum y de verbo ad verbum kładzie ich textum, to wedle rozumienia Wmci concilium favet haereticis. Raczey naganiać waszego Mendozę, co iego scripta iako seditiosa contra principem publice ex publico decreto kat spalił w Parižu; niepodobna to taić.

A za w tym peicatum, co rzeczono: Princeps ex melancholia został Jezuitą? raczey na tych czyńcie invectivy, co a seculis osądzili, że desperatio facit monachum; dla o.. (? *ochrony*) takiey osoby rzeczono raczey melancholia, nie desperatio. A słuszni ieszcze by inconsulte; nie dołożywszy się króla IMci. Brata, trudno to chwalić.

[5]) Odnosi się to do charakterystyki Andrzeja Boboli w Kronice Piaseckiego. (Przyp. wyd.)

A w tym szuka nasutus pasquillista iako in scirpo nodum przymówki na autora (że) wspomniał: obnoxius bywał morbo comitiali. Wszyscy historicy pisząc o Monarchach dokładaią o ich dispositiey valetudinis et morbi, zwłaszcza o takich, co pochodzą non ex turpitudine, ale ex affectione naturalis dispositionis. O wielu to wspomniano wielkich monarchach, citra notam imperii, y de Philippo 2, Hispaniarum rege piszą Hiszpańscy y Włosci y Niemieccy chronologi, że cierpiał Phthiriasim, morbum Her....anum, który iest scabies plugawa, brzydsza niż comitialis.

Przyganiasz Wmć w wspominaniu królestwa Ichmci naszych y Austriaków, niedziw, bo nie znasz praecepta artis historiae, albo ieżli ie znasz, napisz tesz co, to z tego będziem sądzić, co umiesz. Summum praeceptum piszącemu Historią iest nie zażywać adulationes, prawdziwie... (? *rzeczy*) iako były, zwłaszcza co constant manifeste wspominać. Także ten Historyk zacny umieiętnie czyni, samę rzecz bez przysady, iako się toczyła, kładzie a iudicium zostawuie lectori. A przecie gdzie o reputacią idzie królewską, dosyć iey ochrania y położywszy co iawno wszytkim y iusz iest u wielu scriptorów istius seculi, że musiał wspomnieć cuitan (*do*) vitium adulationis, przecie z ochroną raczey culpam na inszych kładzie, iako prawda. Austriakom nic nie powinien y przecie y tych acta tak wyrażone, iako są w sobie, prawdziwie bez żadney calumniey a wyrażone dla tego, żeby Polakom paterent, aby umieli strzedz się, coby nie wpadli w ich sieci, iako Węgrzy y Czechowie.

Ale to nawiększa, że w Niemczech, w Austriey y w samym Wiedniu piszą y pisano y drukowano rzeczy fałszywe contumeliis plenas przeciw świętey pamięci królowi Je^{o}. Mci. y przeciw teraźnieyszemu królowi Je^{o}. Mci, a przecię Austriacy y Jezuici Austriaccy nic nie mówią o to a tu Austriaków tak barzo bronią.

A nadewszystko concept Pasquilla, który coronat opus, ukazuie acumen penetrans aethera: widział draconem deglutientem stellas czy przez sen czy na meditaciach Jezuickich, levavit se, super se, do Pathmos widzieć nową Apocalypsim, draconem stellas deglutientem et stellas cacantem merendam tali astrorum contemplatori.

Pospolicie kiedy panowie iadą, to psi szczekają a panów nie uszkodzą, y wasza ta pasquillaris pokutna oblatratio nie zawadzi chronographo, który nie promotiami czyiemi ale cnotą swą, własną pracą, inuitâ fortuna, inuitis obtrectatoribus osiadł gradum zacności. Stanie ten równo (przynamniey opud posteritatem gratam, ieżli ingrata praesens aetas) z Cromerem a będą tacy, co go praeferent Cromerowi w wielu rzeczach, wam zaś zostanie tylko, coście wynurzyli światu wyuzdaną wszetecznie na honor ludzi zacnych malignitatem swoię.

Podobno rozumiecie, że malis linguis iako mieczem na obie stronie ostrym otworzycie sobie regressum do Wenetiey, że maledicentią zmażecie wszystkie xięgi wielkich autorów, co o waszych sprawach po wszystkiey Europie popisali y teras piszą, ale pomnieć, co mówi Cicero: Procacitate linguae vitia non diluuntur. Pewnie nie zmażecie, nie zgryziecie.

Takim to napisano:

Rode aper vitem, tamen hinc, cum stabis ad aras.
In tua quod spargi cornua possit, erit.

A tosz na pasquillus calumniey pełen macie simplex veritatis responsum, citra conuitia, bo tych powaga Historiey nie cierpi y w defensiey iey niechce y iako ona non ex latebris anonimis, tak y ta iustificatia palam, fronte aperta, iustitiae suae confisa wychodzi z moim imieniem. W Golczowey na plebaniey dnia 8 marca Anno Christi MDCXL sexto.

Jan Żmiiewski, pleban Golczowski y Domaradzki m. ppa.

Sądząc z zewnętrznego układu powyższego listu, należałoby przypuścić, iż mamy przed sobą oryginał; przeciwko temu przypuszczeniu przemawia jednakże następująca zapiska współczesna, znajdująca się na marginesie: *Copia literarum R. D. Żmiiewski ad Prem. Rectorem Jaroslaviensem.* O wspomnianym w liście Xiędzu Boboli Sebastyanie, bratanku podkomorzego koronnego Andrzeja, czytamy w Niesieckim, iż wstąpiwszy w Rzymie do zakonu Jezuitów, rządził, po powrocie do ojczyzny, Kolegium Jarosławskiem, poczem w Sandomierzu, po długiej chorobie, zakończył życie w r. 1649. Zdaje się, iż w r. 1646 już go w Jarosławiu nie było, kto zaś wówczas był rektorem tamtejszego Kolegium, nie jest nam wiadomem. Również o autorze listu nie możemy podać bliższych informacyi. Starowolski a za nim Niesiecki przytacza niejakiego Jana Żmijewskiego, który umarł r. 1647, a był kanonikiem warszawskim i generalnym oficyałem Mazowieckim. Nasz pleban Golczowski i Domaradzki był niezawodnie inną osobą o skromniejszych tytułach. Z większem prawdopodobieństwem możnaby go uważać za autora przytoczonego przez Jochera dzieła pod tytułem: „Obrona dziesięciny wytycznej... przez W. niegdy X. Jana ze Żmijewa Żmijewskiego, scholastyka Wiślickiego, sekretarza J. Kr. Mci. napisana, za pozwoleniem starszych do druku post fata authoris podana, w Krakowie R P. 1666.“

Przyszłemu biografowi Pawła Piaseckiego uda się może rozwiązać tę wątpliwość i wykazać w jakim stosunku zostawał Żmijewski do Piaseckiego; życzyćby też należało, aby mu się udało odszukać ów paszkwil, który wywołał powyższą odpowiedź. a któryby nam okazał, jaką bronią posługiwali się przeciwnicy autora *Kroniki*.

Gabryel Conroy.

Romans

BRET HARTA.

Tom trzeci.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ VII.

Dalszy ciąg wakacji pana Hamlina.

Gdy donna Dolores po odejściu pani Sepulvida, straciła z oczu postać Hamlina, wniosła z tego, iż poszedł za damą — i pewno nie mało zdziwiłaby się, gdyby się dowiedziała, że właśnie w tej chwili przebywał w jej domu, popijając aguardiente nie z żadną lichą osobistością, ale z ceremonialnym don Juanem Salvatierra. I w samej rzeczy rzeczy Jack, idąc za popędem niewymuszonego zuchwalstwa, stanowiącego wybitny rys jego charakteru wlazł na dziedziniec, zjednał sobie gościnność don Juana nie wykrywszy nawet temu gentlemanowi swego nazwiska, ani stanu. Po całych dwóch godzinach, zachwycając go urokiem swej rozmowy i rozweseliwszy do stopnia godnego pożałowania, — pozostawił w zupełnej nieświadomości co do kwalifikacyi gościa.

Dlaczego Jack nie skorzystał z dobrej sposobności by wyjednać spotkanie z tajemniczą senorą, która wywarła na niego tak wielkie wrażenie, tego on sam nie mógł sobie wyjaśnić. Nagła jakaś wstydliwość i obawa, jakich nigdy przedtem nigdy nie doznawał w stosunkach z inną płcią, powstrzymały mu język, podczas gdy don Juan z gadatliwością wynikającą z trunku wyprowadzał na stół wszystkie spory i plotki misyjne i domowe.

Donna Dolores dowiedziała się o odwiedzinach tego gościa dopiero po trzech dniach, ponieważ przez ten czas czuła się niezdrową i ani na krok nie wychodziła ze swego pokoju; ale dowiedziawszy się o tem następnie wpadła w gniew, który zmięszał don Juana i zastraszył wszystkich służących.

— Dlaczego nie dałeś mi znać o obecności tego Americano? Czy jestem dziecko, że trzymasz mnie w nieświadomości, tam gdzie chodzi o mój obowiązek jako pani domu? Albo może masz się za moją ochmistrznię, don Juanie? Dzielny caballero — ten sam, jak widzę z twego opisu, który mnie przeszłej niedzieli po mszy ochronił od pokrzywdzenia!... i nie dopuszczono go nawet do ucałowania mojej ręki! o, przenajświętsza Panno! I nazwisko jego zapomniałeś?

Napróżno zapewniał don Juan, że nieznany caballero bynajmniej nie upraszał o audjencję i że wrodzone donnie dziewicze usposobienie niezawodnie powstrzymałoby ją od ukazania się mu.

— Lepiej byłoby gdyby poczytał mnie za emancypatkę... Amerykanie mają pod tym względem poglądy całkiem inne, mój wuju — aniżeliby „święta Trójca“ wskutek pogrążenia się w aguerdiente miała być w złem świetle świetle wystawiona!

Tym czasem Hamlin uznał, że w San Antonio nie ma spokoju zalecanego przez lekarza i następnego dnia opuścił to miasto. Trzy dni ogromnego upału przepędził w Sacramento, na czwarty dzień uciekł w góry, a zrana pierwszego chłodniejszego dnia znalazł się w Wingdam.

— Czy jest tu kto znany mi? zapytał wiernego swego giermka Pete, który właśnie przynosił świeżo wyczyszczone porane ubranie.

— Niema, massa.

— I niemasz nikogo takiego, z którym wartoby było poznajomić się? pytał cyniczny Jack dalej, powoli wstając z łóżka.

Pete zamyślał się, potem rzekł:

— Tam, w parlor, jest dwóch turystów, tam, z Zachodu... z takich ludzi co to po kraju wałęsają się by mu się przypatrzeć. Właśnie tu przybyli, tam od tych wielkich drzew. Ja sądzę, że są oni z tych ludzi z Frisco, których massa Dumphy i inni w sieci wplątali; po drodze ludzie im mnóstwo rozmaitych rzeczy w głowę nakładli.

Jack cierpko uśmiechnął się.

— Sądzę, rzekł, że niemasz potrzeby przynosić mi tu moje śniadanie, Pete! zejdę nadół.

Towarzystwo w tak ciemny sposób przedstawiane przez Pete, stanowili państwo Raynor, którzy zamierzywszy obejrzeć „wielkie drzewa“ pod inteligentnem kierownictwem pewnego redaktora z San Francisco, przydzielonego im przez pana Dumphy, dla reprezentowania kalifornijskiej gościnności, zabrali go z sobą. Byli właśnie przy śniadaniu i niemało się zdziwili ujrzawszy wcho-

dzącego gentlemana, który wykwintnem swem ubraniem i uderzającem w oczy ochędóstwem zawstydził ich, kurzawą i błotem powalanych, a który przyszedł ze swoim służącym i zajął miejsce naprzeciw nich i ich przewodnika.

Pani Raynor zaraz przyszły na pamięć rozliczne zaniedbania w jej własnej toalecie, więc po chwili zakłopotania wyniosła się. Pan Raynor, na którego pojawienie się nieznajomego wywarło wielkie wrażenie, dał wyraz swej ciekawości szturchnąwszy łokciem redaktora, który wszakże, z jakichś, jemu tylko znanych powodów, zrobione mu w ten sposób zapytanie pozostawił bez odpowiedzi. Być może iż w ciemnookim nieznajomym poznał powszechnie znanego Jacka Hamlina i że rozliczne powody skłaniały go do zaniechania dalszego szerzenia sławy, jaką cieszył się siedzący przed nim gentleman...

Jak tam było, tak było, dość że po wejściu Hamlina przerwał on swój hymn na chwałę Kalifornii, stał się przyzwoicie powściągliwym i zagłębił się w czytanie porannego dziennika.

Hamlin czekał na odejście damy, potem, z całym spokojem ignorując obecność wszelkiego indywidum, wydobył zręcznie rewolwer i nóż, zwany *bowie*, z kieszeni, położył to z właściwą sobie swobodą po obu stronach nakrycia, spojrzał pobieżnie na stół, a potem przywołał Pete.

— Powiedz im tam, rzekł spokojnie, iż chcę mieć dwa wielkie ziemniaki; spytać się co też oni sobie myślą, kładąc na stół takie drobiazgi. Powiedz im także by się trocha rozruszali. Czy strzelba twoja nabita?

— Nabita, massa, szybko odpowiedział Pete, nie drgnąwszy ani jednym ze swych hebanowych muszkułów.

— Dobrze — weź ją z sobą.

Ale tu pożądanie wiedzy przemogło rozsądek w panu Raynor, który niedawno właśnie robił uwagi nad ogromem ziemniaków. Ponownie szturchnąwszy łokciem swego towarzysza nachylił się on nad stołem ku wykwintnie znużonemu nieznajomemu i zapytał grzecznie:

— Bardzo pana przepraszam; ale o ile go zrozumiałem, pan jesteś zdania, że te ziemniaki są małe... czy rzeczywiście są większe jeszcze?

— Pierwszy raz w życiu zdarzyło mi się, odrzekł Jack z powagą, — doznać takiej obrazy, że podano mi cały ziemniak. Przedtem nie wiedziałem, że to jest możebnem. Być może, iż w tej części kraju roślinność tak skarłowaciała. Ja jestem tu obcy. Sadzę, że i pan także. Ale choćbym był obcym, to niewidzę jeszcze powodów dlaczego mianoby mnie wyzyskiwać.

— A! rozumiem, odrzekł zmistyfikowany Raynor; ale jeżeli mogę zadać drugie pytanie... proszę mi wybaczyć jeżeli niewłaściwie postępuję sobie... zauważyłem żeś pan polecił swemu służącemu by wziął z sobą do kuchni strzelbę... zapewne...

— Pete, przerwał pan Hamlin znudzonym tonem, Pete jest to dobroduszny murzyn. Nie chętnie utraciłbym go. Może pan masz słuszność... być może, iż jestem zanadto przezorny. Ale kto w ciągu trzech miesięcy utracił dwóch służących wskutek ran od strzałów, to naturalnie staje się ostrożnym.

Najzupełniejsza swoboda mówiącego, powściągliwość redaktora i grobowa cisza w pokoju, gdzie odbywała się ta szczególna rozmowa, przepełniły miarę zdumienia pana Raynor.

— To jest coś nadzwyczajnego. Nic podobnego nie widziałem! zawołał, zwracając się do swego towarzysza.

P. Hamlin spojrzał w tym samym kierunku i powiedział:

— Przyjaciel pana jest Kalifornijczyk i wie co myślimy o takim człowieku, który kłamie i jak większość nasza karci podobne rzeczy; spodziewam się zatem, że potwierdzi to co mówię.

Redaktor wybełkotał pospiesznie parę słów, a potem szybko wyniósł się, pozostawiając swego pupilla z Hamlinem. O ile Jack wyzyskał na swoją korzyść taki stan rzeczy, jak zamamaszysto w wykwintnie znudzonym tonie opisywał roślinność Kalifornii, niewyczerpane źródła kraju, lekceważenie życia i własności — to nie należy do tej prawdziwej historyi.

Pominąwszy to wszystko, znalazł pan Raynor w Hamlinie nadzwyczaj przyjemnego towarzyskiego człowieka i później gdy redaktor znowu przyłączył się do nich i Hamlin zwrócił się z prośbą do tego gentlemana by odradził panu Raynora grę, jako jedyny i zrujnujący grzech w Kalifornii, i gdy na dowód twierdzenia swego przytoczył, że oba oni — redaktor i on — wskutek gry całkiem się zrujnowali, turysta uczuł, że jego poglądy i usposobienia są w takiej harmonii ze szczerą otwartością i ściśle moralnemi zasadami nowego jego znajomego, iż począł nalegać by Hamlin przyłączył się do ich towarzystwa — zaproszenia, które ten przyjął z przyjemnością, — gdy wtem zaszedł szczególny wypadek.

Podczas tej rozmowy zastanowiło Hamlina ukazanie się pewnego nieznajomego, który wszedł do pokoju i skromnie szukał miejsca koło drzwi. Ta skromność nieznajomego wydała się Hamlinowi tak sprzeczną z potężnym wzrostem i budową, znamionującą ogromną siłę, iż ze zwykłą sobie śmiałością uczuł się usposobionym do przybliżenia się ku nieznajomemu i zapytania go „w jaką grę grywa?“ Hamlin miał to wyobrażenie, że poza skromnością i trwożliwością nieznajomego ukrywa się przebiegłość i uczuwał w sobie pewien rodzaj szacunku dla niego.

Nieznajomy miał na sobie zwykły ubior górników z południowych kopalni, być może, iż nieco porządniejszy, aniżeli go miewają zwykli górnicy, w każdym razie bardzo on przystawał do jego posągowej postaci. Miał na sobie białe spodnie z żaglowego płótna, kurtkę lub raczej otwartą bluzę z tejże samej materji z wykładanym żeglarskim kołnierzem i chustkę spiętą również na sposób żeglarski, ukazującą ogorzałą i muszkularną szyję z wyjątkiem miejsc gdzie osłaniała ją gęsta jasna broda, długie kędzierzawe włosy spadały mu po obu stronach niskiego szerokiego czoła. Piękna cera, chociaż spalona słońcem i wiatrem, zdawało się, że przedtem była bladą czy to wskutek choroby, czy też wielkiego moralnego cierpienia; przypuszczenie to stwierdzała okoliczność, że nieznajomy jadł mało. Oczy miał spuszczone ku ziemi, a gdy je podnosił, to patrzały tak trwożliwie, jakby chciały uniknąć każdego badawczego wzroku.

Pomimo to wszystko powierzchowność jego była tak zajmująca, że oprócz Hamlina zwróciła na siebie uwagę i innych obecnych; pan Raynor znowu się zainteresował, co dało sposobność redaktorowi okazania mu *ad oculos* typu górniczej ludności krajowej.

Zmięszany w końcu uwagami jakie wywołał, pomimo że niepojmował wcale przyczyny tego, gdyż myśli jego zupełnie czem innem były zajęte, ów przedmiot ogólnych spostrzeżeń wstał i wyszedł do podniesienia hotelu, gdzie leżała jego torebka i górnicze narzędzia.

Hamlin, który w ostatnich kilku dniach był w usposobieniu wcale wyjątkowem, uczuł z niewiadomych i niepojętych powodów coś jakby szacunek dla nieznajomego i wyniósł się spokojnie do bilardowego pokoju by tam czekać na powóz pocztowy. Jak tylko znikł, redaktor skorzystał ze sposobności ażeby wynurzyć swe zdanie w charakterze i reputacji Hamlina, którego fałszywe twierdzenia o kalifornijskich źródłach bogactwa i obyczajach mieszkańców mogły poniekąd oddziałać na pana Raynora i podkopać jego wiarę w to, że Kalifornia jest pewnym placem dla lokowania kapitałów.

— Co do niepewności życia, mówił redaktor z uniesiem, to żyjemy tu tak samo bezpiecznie jak w Nowym Yorku lub Bostonie. Zgadzamy się na to, że dawniej było w kraju wielu awanturników w rodzaju tego szulera Hamlina; lecz ośmielam się twierdzić, że pan znajdziesz najlepsze zaprzeczenie tego w osobie prawego i zacnego górnika, — którym się zachwycałeś. Jest to typ naszej górniczej ludności, silny, dzielny, uczciwy, bez pretensyj, przyjacielski i skromny. Jesteśmy dumni, panie, z takich ludzi... co? co to?... a! to nic!... to przebywa powóz pocztowy.

Rzeczywiście nie było to nic innego. Na werandzie pod oknem zebrał się tłum, co chwila zwiększający się, zadyszanych ludzi, a wszyscy jeden ponad głową drugiego w żywem wzburzeniu wpatrywali się w grupę, w pośród której wznosiła się olbrzymia postać tego samego górnika, który niedawno był przedmiotem rozmowy. Czuć było pewne nieokreślone przerażenie, jak kiedy zawiadamia się innych o jakich gwałtownych wypadkach bez słów, a tylko znakami.

Następnie Juba Bill, stangret pocztowego powozu, wystąpił z tłumu i wszedł do szynkowni z wysileniem ściągając swe łosiowe rękawice.

— Co to za hałas, Billu? zawołało naraz półtuzina głosów.

— Nic, odrzekł Bill cierpko, — tylko szeryt z Calaveras przybył z nami i podłapał trop człowieka którego szukał.

— Gdzie?

— Tu właśnie... tam na werandzie... on pierwszy wpadł mu w oko.

— Za co?

— Kto?

— Co on zrobił?

— Kto on jest?

— Co się stało? — powtórzył chór znowu.

— Uśmiercono jednego człowieka w One horse gulch tej nocy! odpowiedział Bill, biorąc za flaszkę, którą uważny gospodarz bez wezwania przed nim postawił.

— Kogo uśmiercono, Billu?

— Małego Meksykanina z Frisco, nazwiskiem Ramirez.

— Jak się nazywa morderca?... i człowiek, który go pochwycił.

Był to głos Jacka Hamlina. Juba Bill natychmiast zwrócił się ku niemu, postawił swą szklankę, obtarł usta rękawem i wyciągnął rękę i uśmiechając się zawołał:

— Niech mnie wszyscy djabli porwą, jeżeli to nie ty, stary chłopcze!... No, jakże stoją akcje, co? Coś mi trocha pobladłeś na gębie, ale zawsze jeszcze tego wyglądasz. Słyszałem, że w ostatnim tygodniu licho ci się wiodło w Sacramento! Hej, gospodarzu! dajno tam trucizny Jackowi!... No,

stary! do wszystkich piorunów! rad jestem, że cię widzę!

Tłum, powstrzymując oddech, słuchał tych słów, trwogą i szacunkiem przyjęty. Była to rozmowa bogów.

Nakoniec Hamlin przerwał milczenie i zapytał powoli, lecz z lekkim rumieńcem w twarzy:

Jakie jest nazwisko łotra, który małego Meksykanina sprzątnął ze świata?

— Gabryel Conroy odrzekł Bill.

(C. d. n.)

STUDJA ESTETYCZNE

przez

WOJCIECHA HR. DZIEDUSZYCKIEGO.

Sztuka starorzymska.

(Dokończenie).

Przedmioty rozróżniamy za pomocą świateł i cieniów, i za pomocą barw. W tem wszelkie źródła rozmaitości dla oka. Gdzie rozmaitość jest niekłamaną, gdzie pochodzi z organizmu budowy, i gdzie ma swoje źródło w samejże technice gmachu, tak jak naprzykład w kolumnadzie greckiej, tam światło i cień starczą na to, aby rozmaitość uwydatnić. Gdzie jednak ozdoby, tak jak najczęściej w Rzymie, są tylko powierzchownemi rzezaninami, zdobiącemi nierozczłonkowane ściany gmachu, tam światło i cień nie dość wyraźnie i nie dość potężnie rozgraniczą przedmioty; tam trzeba już koniecznie pomocy barwy. Dlatego to widzieliśmy wielką barwność w gmachach rzymskich. Widzieliśmy, że ozdoby bywają najczęściej innej barwy od tła budynku, i że znów innobarwne szczególiki jaśnieją na ozdobach. Oko lubiało nieco przyćmione, a jednak połyskujące światło, w którem było wszystko widać, a które nie ćmiło, dodając jeszcze do rozmaitości tem, że się przygaszone promienie na nadzwyczaj wygładzonej powierzchni mieniły. Używano tedy główniе marmuru, porfiru albo działla i złota. Marmur biały tworzył tło, pilastry i inne większe ozdoby były z porfiru, a złoto dawało materjał do głownic i gzymsików, a wreszcie do róż i pokrycia zewnętrznego sklepień. Gmach taki przedstawiał na czysto bezbarwnem a świetlanem tle dwie barwy pokrewne, bronzową i żółtą, z których jedna tylko bardziej jaśniała, rodząc tak efekt podobny do świateł i cieniów.

Ale ten skromny szept barw, który tylko architekturę uwydatniał, nie wystarczał łakomemu wrażeń oku rzymskiemu. Obok tego wymagało ono czegoś jaskrawszego, coby silniej oko uderzyło, coby myśl od linij architektonicznych oderwać zdołało, i coby podało umysłowi nową, zupełnie inną, a nie mniej obfitą strawę. Posągi urozmaicały już wnętrze gmachów — ale one działały światłem i cieniem. Trzeba było czegoś coby im równoważyło; trzeba było światłom i cieniom przeciwstawić barwy.

Aby dostrzedz jak to się działo, przypatrzymy się rozkładowi ozdób w łaźni Karakali, i to mianowicie w wielkiej sali, w której używano wczasu po skończonej kąpieli.

Nie myślimy wchodzić w zawiłe opisy niejasnej architektury tej zadziwiająco wielkiej sali. Chodzi nam tylko o zupełnie dodatkową i wcale nie architektoniczną część ornamentyki.

U dołu tedy, do koła sali stały posągi, tak rzymskiego jak rodyjskiego dłuta. Pierwsze uwieczniały imperatora założyciela, drugie były jakoby łupy zdobyte na Grekach? One tworzyły wielkie, białe, lub czasem złocone masyześrodkowujące światło. a rysujące się na tle półcienia świątyni, podobnie jak jasne, nagie ciała wśród szaroblękitnych, gołębich, pompejańskich malowideł. Pomiędzy nimi rozciągała się wielka posadzka, biała z czarnym deseniem. Tu występywała już pierwsza mozaika wykonana z gruba. Połączono białe i czarne kwadraciki marmurowe w ten sposób, że powstawały dość nieforemne zarysy czarnych figur na białem tle. I tu tedy oko odbierało tylko wrażenie światła i cienia, ale w odmiennej już i udanej tylko formie, niedoskonałego i brzydkiego nawet rysunku.

U góry za to, na sklepieniu, i bezpośrednio pod sklepieniem jaśniały barwy w pełnym majestacie, i już wcale inaczej jak na obrazach po domach. Tam we wszystkiem była pewna przytłumiona gama barw, i pewne naśladownictwo rzeźbiarskiej sztuki. Tu chodziło o kontrast wybitny przeciwstawiony dolnym posągom. Płaskie tedy i wyraźnie płaskie postacie o jaskrawych barwach odbijały o zupełnie świetlane białe tło. Głowa Meduzy, wężowłosej dziewicy odbijała się jaskrawemi splotami gadzin, i czerwienią otwartych ust, o lśniący bezbarwny medalion marmurowy. Tam widać było jaskrawe chymery, tu splot ulatujących nymf czerwieniał na białem tle.

Wykonanie tych mozaik wcale starannem nie było. Z bliska widać było, że składały się z kosztownych a twardych kamyków, z rozmaitych gatunków chalcedonu i kornaliny, jaspu i achatu, układanych tak, aby w wielkiej bardzo odległości przypominać dobrze rysowane, a niedbale malowane głowy lub postacie. Barwy jaskrawe jaśniały a rysunek tworzył arabeski rytmiczne, w których wszystkie proporcje i odległości szczęśliwie obmyślono. A co Rzymian może najwięcej obchodziło, były to utwory wieczno-trwałe, i tak kosztowne, że i starożytność i bogactwo Romy głośno opowiadały.

Takiemi były najczęściej mozaiki rzymskie. One były sztuką w Rzymie zrodzoną i w Rzymie wychowaną, i doskonale zgadzały się z usposobieniem rzymskiego narodu. Jawiły się jednak i w bogatych domach prywatnych, i wtedy wcale inny charakter przybierały. Wiemy o tem znów dzięki wykopaliskom pompejańskim. Czasem tedy odtwarzano mozaiką, z gruba i nieudolnie, arcytwory greckiego pędzla, jako to Apellesa bitwę Aleksandra, którą przechowują w muzeum Neapolitańskiem. Göthe wychwalał ją pod niebiosy, i trudno się Göthemu sprzeciwić. Ale jeźli się należy od dzieła sztuki wymagać starannego wykonania i złudzenia, bitwa Aleksandra jest chybioną zupełnie, i robi wrażenie grubego haftu. Prawda, że kompozycja pełna i życia i prawdy — ale o tem nie tu miejsce prawić.

Druga mozaika dla nas może ciekawsza, bo jest jednym z przykładów nie rzadkiego w Rzymie konceptu; rzeczy wcale różnej od właściwej komiki, i rzeczy którejśmy w Grecji nie spotkali. Wyrobiono u wejścia do jednego z domów pompejańskich na progu czarnego psa z mozaiki z napisem „Cave canem“: „Strzeż się psa“. Kundys ogromny otworzył dużą paszczę, w której widać język czerwony i wielkie białe zęby. Pies ów ma obrożę na szyi, a przy obroży kij, na to by nie mógł uciec ze zbyt wielką łatwością.

Takie psy stoją rzeczywiście na wsi u wchodu do domostw, i trzeba się ich strzedz. W mieście gościnny dom bez niego się obejdzie. Odtworzyć psa takiego, z takim napisem, u wejścia do domu, jest pomysłem co się z prawdy niby wydrzyźnia, i pomysłem niezwykłym. Taki pomysł nie wywołuje śmiechu, ale jest powodem pewnego zadowolenia. Widz cieszy się mimowoli, że umysł ludzki zdolen przedmioty tak „dowcipnie“ zestawiać. Taki pomysł zowiemy konceptem.

Rzecz to rzadka, wyszukana, jak owe kamienie, z których mozaiki wykonywano i jak owe gzymsy i półkolumny, któremi gmachy publiczne zdobiono. Koncept tedy był na swojem miejscu u wejścia do domu rzymskiego, w którym pełno było rzeczy wyszukanych, i przeto cenionych. Były tam naczynia korynckie i etruskie, których już dawno nie wyrabiano, i były wreszcie gemmy, czyli kamea, ostatni rodzaj sztuki rzymskiej, o którym pomówimy choć kilkoma słowy. Kameo jest to drobna ale nadzwyczaj kosztowna a barwna płaskorzeźba, wykonana w malutkich rozmiarach z drogiego kamienia.

Aby kameo otrzymać, wyszlifowywano cieniutką płytkę, z którego z napoły przezroczystych a mniej kosztownych kamieni drogich, wybierając do tego egzemplarz o mieniących się barwach. Użytkując umiejętnie z barw owych, wyrabiano na tej płycie czy to głowę, której bledszę karnacje, a jaśniejsze włosy odbijały o ciemne tło klejnotu, czy to nawet całe ruchome grupy. Gemmy te trzymają się ściśle tradycyi greckiego piękna, i nie przedstawiają dla estetyka innych stron ciekawych nad tę, że dają nam naoczne świadectwo tego, jak Grecy i Rzymianie posągów barwę traktowali. Wiemy bowiem ze źródeł, że posągi starożytne bywały najczęściej barwne. Zresztą ten rodzaj sztuki potwierdza wygłoszone już przez nas zdanie, że Rzymianin często więcej za kosztownością materjału jak za pięknością dzieła gonił.

IV.

Pozostaje nam tedy tylko jedno zadanie. Tem zadaniem porównanie sądów wydawanych o sztuce rzymskiej.

Sąd estetyków filozoficznych dziewiętnastego wieku brzmi dość niekorzystnie. O budownictwie mówią: „Krąg i półkula, znaki wieczności i światowładnej potęgi znamiona, rzymskiego budownictwa cechami. One treściwe i w surowości swej piękne. Rzymianom chodziło o to, by postawić gmach trwały i silny, a gmach w którymby mury i słupy jak najmniejszą przestrzeń zajmowały. A że znanym aksyomatem, że sfery objętość największą, więc gmach taki musiał być sferycznym. Ztąd złączyła się przestworność istotna z symboliką nieskończoności.“

Prawa matematyki bywają niezmiennie techniki prawami. To też okazało się, że kopuła, która największą przestrzeń powietrza ująć może, jest zarazem najtrwalszem zwartem pokryciem gmachu. A duch nieświadomie matematyczne i techniczne prawa odczuwa. Snać czuje je w sobie. On się ucieszy potęgą, trwałością i przestronnością zanim je rachuba odmierzy. Lgnie do linii i cieszy się ich losami, jakby sam był linią; wraz z liniami zwycięża walcząc przeciw prawu ciężkości ziemskiej; jakby i on jemu podlegał; albo znów poddaje mu się spokojnie wraz z liniami, jakby snem cichym cieszony. Linia rzymskiej kopuły umie się oprzeć ciężkości, lecz nie chce z nią toczyć zbyt zajadłej walki. Przeto mimo majestatu rzymskiej potęgi, i style greckie, i styl gotycki bardziej bohaterskie.“

„Ślepym głupcem ten co harmonijną łączność

duszy i świata zapoznaje. Głupcem ten co szuka wyższej poezji nad poezję liczb i miar. Matematyka po Bogu to arcymistrz. A kto chce ją nakryć naleciałą zkąd inąd ozdobą, ten świata ład naprawia bezbożnie. Ten tak szalony, jak anioł co chciał we wschodniej klechdzie wskazać nową drogę gwiazdom, jak ów ogrodnik Holender co Boże dęby w kształt pawiów przecinał, i jak rzymscy despoci co z koni czynili senatorów, a do sferycznych wiekuistych ciosowych gmachów Romy, greckie kolumny, i greckie gzymsy i ozdoby, bez celu ustawione, i egipskie przystawiali marmury."

I z temi słowy zapada wyrok na całe budownictwo rzymskie, które się nie obchodziło nigdy bez owych ornamentów, co są ślepem głupstwem i bezbożnością wobec filozoficznej estetyki. Dla rzeźbiarstwa wyrok nie o wiele łagodniejszy: Jest ono, w oczach estetyków, ślepem naśladowaniem natury, które staje się bombastycznem i nienaturalnem, ilekroć pragnie się, wynieść ponad poziom pospolity. O innych gałęziach rzymskiej sztuki nie raczą nawet estetycy mówić.

I takim musi być sąd estetyków urzędowych, przynajmniej odkąd grecką sztukę bliżej poznano. Dla estetyka jest dotychczas pięknem to tylko, co odrazu silnie i trwale, a bez potrzeby długiego komentarza, uderza. Przytem stałą i słuszną teorją nowożytnej estetyki, że to co jest prawdą, o tyle silniej od najzręczniejszej ułudy wzrusza, o ile ułuda artystyczna niezręczny bohomaz przewyższa. A właśnie budownictwo rzymskie jest tylko aktorem co prawdę greckich gmachów wydrzeźnia. A znów ruchy brzydkich z twarzy posągów rzymskich wszystkie jakby wyuczone. One są tedy kłamstwem, kiedy ruchy greckiej rzeźby wiernem oddaniem prawdy.

Takim tedy musiał być sąd estetyków. Inaczej wyrokują znawcy i artyści.

Znawca, to smakosz w sztuce. Jak smakosz prawdziwy szuka za delikatnemi odmianami smaku, które dają się odkryć za pomocą języka, tak znawca pieści się ze zmysłem wzroku, szukając za pięknościami ukrytemi dla zwyczajnego oka. I jeden i drugi używają rozumowo za pomocą zmysłów; wyszukują rzeczy niedostępne, czem ćwiczą spryt. A nie obchodzi się i bez pewnej dumy i pewnego zadowolenia z samego siebie, gdy się jest przyświadczonym o sobie, że się poznaje rzeczy, których ogół i tłum nie poznają.

Dla takiego znawcy sztuka rzymska arcy pożądanem pieścidłem. Jakżeż tu można się lubować w szczegółach architektury, jakżeż można rozważać piękność pojedyńczych gzymsów i głównie wykończoność głów, mądry układ draperji, i wreszcie misterne wykonanie kameów! To też Rzym pozostanie na wieki ulubionym pobytem znawców, dla których napój podany w Atenach zbyt silny, i artystów, dla których wielka mnogość nie nadto idealnych i niedostępnych, a nadzwyczaj starannych przykładów najlepszą szkołą i zachętą.

I któż ma słuszność? Czy estetycy? czy znawcy?

Zapewne każdy, i znawca nawet każdy, przyzna chętnie i odrazu, że sztuka grecka o wiele potężniejsze i jaśniejsze zrazu budzi wrażenie, i że to wrażenie trwa. I Rzymianie tę sztukę cenili. Naśladowali ją często, podziwiali zawsze. Mimo to uczuli potrzebę stworzenia innej, nowej sztuki, przy której odtąd stali wiernie, i dokazali tego, że późniejsza sztuka włoska u nich bezpośrednio czerpała, i to nie lada natchnienie. Prócz tego i dziś tysiące turystów jedzie co roku do Rzymu, by złożyć hołd starożytnej rzymskiej sztuce. Wszystkie te okoliczności głośno świadczą, że sztuka rzymska wywarła na ludziach i miłe, i potężne, i trwałe wrażenie. A skorośmy już przy greckiej sztuce oświadczyli że naszem zdaniem estetyka winna baczyć na to co się podoba, i z tego dopiero wnioskować o tem co piękne, nie możemy tu twierdzić aby piękno było odmówionem sztuce rzymskiej.

W tłumie zwidzających Rzym są zapewne i artyści, i znawcy o którycheśmy już prawili. Inni przyjeżdżają na to, by się u grobu apostołów pomodlić, i by się papieżowi pokłonić. Większość jeździ jednak tylko po wrażenia.

Nikt nie zaprzeczy że i Rzym średniowieczny i nowożytny, i zabytki greckie, przechowane w Rzymie przyczyniają się nie mało, a może i głównie do uroku Romy. Ale i to pewna, że każdy szuka zabytków rzymskich, i że Rzym nie byłby sobą, gdyby nie ruiny. I każdy chętnie spieszy do Koloseum o olbrzymich łukach a może nadewszystko do pałacu cesarzy.

Jest to olbrzymi i nieskończony, choć niejasny i chaotyczny przybytek wspomnień. Nie masz w nim architektonicznych piękności, jak chyba tylko długie śmiało sklepione krużganki, nad któremi harde łuki czuwają rade z życia i ziemskiej potęgi, łuki prawdziwe rzymskie. Ale to najczarowniejszem miejscem, to ruiną nad ruinami. Mury prawią ci cuda o dawnych imperatorach Romy, a kaktusy i aloesy rosną na gruzach komnat Augusta. Tu masz pokoje Liwii z malowidłami świeżemi jeszcze, tam kolumny złkmane, owdzie luźne popiersia, a wszędzie wspomnienia wielkie jak Rzym i świat, i ślad Boga większego, co to wszystko w proch zwalił. Tu brama, przez którą Kalligula szaleniec swoje gnał konie; to—pod cesarską powałą dom Cyceronowy, i Klaudyusza dom—trybuna; niżej jeszcze rynek stary królów; w nim świątynia Jowisza Statora, i dom Tarkwinjusza, i kurja pradawna. W koło mur kwadratowy Romulusów, bajka zapadła w mgle wieków. A pod baśnią ową wskrzeszoną jeszcze zamku jakiegoś szczątki i szczątki drogi. Wieki na wiekach spiętrzone tak, że i człowiek wśród nich wiecznym się zdaje. Jaśnieje dłoń wiedza o czasach zapadłych, a dzieje stają się rzeczywistością.

To wszystko nie wynika z formy murów; nie architektura o tem ci prawi, i nie artystyczne zalety budowy zciągają tu tłumy. Dla nieświadomego dziejów nie ma tu nic prócz nieforemnych gruzów. Formy ich nie z konieczności myśli takie nasuwają. A wtedy tylko, gdy się do gruzów komentarz doda, stają się one żywotnym symbolem, namacalnym świadkiem przeszłości pradawnej. Gdy się te gruzy rozumie zawładną wyobraźnią i tysiąc obrazów przed nią wywołują.

Rzekłby kto tedy że ci, co Rzym zwidzają, nie starorzymskej sztuce, jeno starorzymskim dziejom hołd oddają, gdy nie są owymi łakomymi szczegółów znawcami. I rzekłby dalej, że nie wiedzieć po co te odwidziny przytaczamy, gdy chodzi o to czy sztuka rzymska była piękną?

A jednak wiemy dobrze co robimy. Turyści nie podziwiają to co im Rzym stary bezpośrednio pokazuje, albo bez komentarza przypomina, tylko szukają symbolu przeszłości. Podobnie zupełnie Rzymianie szukali w swojej sztuce symbolu własnej ojczyzny, i podziwienie jednych tłumaczy i usprawiedliwia drugich zamiłowanie. I ztąd czerpiemy wiadomość dla nas ciekawą że nietylko to pięknem co wprost i każdemu miłe, czy to groźne, czy wdzięczne, czy tragiczne, czy technicznie konsekwentne robi wrażenie. Bywają i inne piękności, które nie ćmią bezpośrednio, które nie dla wszystkich zrozumiałe, ale które są nadewszystko drogie dla tych, co je rozumieją. Dzieła takie sztuki podobne do liter; dla tych co umieją czytać zawierają poemat, dla innych nieme.

Sztuka rzymska stanowi przechód do sztuki średniowiecznej nie tylko dla tego że zaprowadziła nieznane dotąd sklepienie, ale i dlatego że miała znaczenie symboliczne. Tylko symbol rzymski tyczy się tego świata, a symbol średniowieczny odnosi się do świata innego mistycznego.

GAZELLE.

I.

Przez ten blask słońca, co nigdy z zachodu,
Lecz tam od grobu Zbawiciela wstaje;
Przez te niezłomne a odwieczne prawa
Co każą lodom pracować na maje;
Przez tę potęgę co z ziarnek maluczkich
Dźwiga olbrzymy w górę i z nich daje
Cień w skwar lipcowy i owoc stworzeniu
Przez te podstopne, niezmierzone kraje,
Dla których nasza noc świt rozpoczyna;
Przez step bez krańca, przez te Himalaje,
Przez wieczną grozę lodów biegunową,
Przez wieczną wiosnę uśmiechnięte raje,
Przez gwiazd plejady płonące na niebie,
Przez śmierć co życiu nieśmiertelność daje,
Niech mądrość wasza w prochu się położy,
Jaka jest mądrość krom mądrości Bożej?

II.

Spytajcie gruzów rozpustnej Niniwy,
Spytajcie w ogniach płonącej Sodomy,
Spytajcie pustyń, co w fali straszliwej
Piasków, topiły Kambizesów dumę;
Spytajcie, gdzie jest ów kupiec sędziwy,
Tyr, purpurami i bisiorem słynny,
Żądny rozkoszy a bogactwa chciwy;
Spytajcie Rzymu, co świat opasywał
Jak wąż, strasznymi łańcuchów ogniwy.
Heliogabalów, Atyllów pytajcie,
Stopą Timurów podeptanej niwy,
Gdzie oni wszyscy? Co po nich zostało?
Idźcie, w Ogrojca stanąwszy oliwy
Spytajcie świętą krwią zlanej Golgoty,
Kto jest zwycięzca i kto sprawiedliwy?

III.

Jeśli z sitowia kolebka zielona,
Po Nilu ludu mściciela niosąca;
Jeśli zastępy dumne Faraona
Nakryte morskich bałwanów odmętem,
Jeśli cierniowa Chrystusa korona;
Jeżeli cyrków zwalona arena,
Grzmiąca oklaskiem i tą krwią czerwona,
Która tygrysów, lwów głody karmiła;
Jeżeli strzała Szwajcara sławiona;
Która po jabłku piersi kata szuka;
Jeśli to wszystko milczy i stracona
W tem wszystkiem straszna dla katów przestroga;
To ty wiedz ludu! że na krzyżu kona
Bóg-człowiek tylko na trzy krótkie doby;
Że Rafaelów tam błyszczy Madonna,
Że Watykany tam gdzie Koloseum;
Że kędy Gesler, tam Tellów ramiona,
Kędy Bastylie, tam lipcowy posąg!
To ty wiedz ludu! że krew ma nasiona,
Że jeśli straszne jest tyranów ramię,
To potężniejsze — co zawsze ich łamie.

Zofia 1867.

Karol Brzozowski.

Mania Curaciosa

obrazek z życia u wód

przez

Autora Kłopotów starego komendanta.

(Ciąg dalszy.)

— No, teraz mogę ci spokojnie powiedzieć wszystko — rzecze oddychając pan Stanisław — Nie chce iść za mnie!

— Jak to, już się oświadczyłeś?

— Najformalniej w świecie: ja nie lubię zwlekać moja droga, robić to robić. Powiedziała mi kocham cię... wszystko to i owo, jak wiesz, w takich razach, ale w końcu mówi, wujaszka opuścić nie mogę.

— To ożeń się i z wujaszkiem — przerywa śmiejąc się Matylda.

— Ba! ożeń się — odpowiada kręcąc papierosa Stanisław — kiedy on mieszka w Krakowie, a ja w Warszawie przykuty jestem do tego biura technicznego. Trudno, rozedrzeć się nie mogę. Więc uradziliśmy, że musimy wprzód ożenić wujaszka.

— Głębokie plany... romans książkowy... miłość z przeszkodami...

— Nie będą głębokie — rzecze z przymileniem braciszek — jeżeli pani Matylda, anielskiej dobroci kobieta, zechce dopomódz.

— Ciekawa jestem w czem?

— Pojść za wujaszka — kończy puszczając gęsty kłąb dymu Stanisław.

— Zwaryowałeś czy co!

— Dlaczego? — Wszak ty chcesz iść za mąż... No, no, nie rób takiej miny, wiem, wiem...

— Stasiu — rzecze obrażona Matylda.

— Nie żenuj się moja droga — mówi całując figlarnie jej szyję. — Cóż ze mną będziesz ceregele robiła? Jesteś młodą, zachwycającą wdówką. A któraż kobieta nawet nie taka milutka jak ty, nie chciałaby pójść za mąż...

— Ja nie chcę...

— Bo to prawda? — zaprzecza pociesznie braciszek. — A ten wuj Maryni to jeszcze młody, przystojny brunet z matową cerą: broda czarna jak heban, uczony jak Arystoteles... zupełnie taki w jakich gustujesz...

— Stasiu, zanadto tych żartów, proszę cię, mówmy seryo — przerywa Matylda. — Dlaczego wuja nie chce opuścić?

— Bo ten wuj ją wychował, bo ona sierota, jemu wszystko zawdzięcza... Z tego już możesz sądzić, jakiej to musi być zacności ten człowiek.

— Więc go ty nie znasz? — pyta ciekawie siostra.

— Naturalnie — bo on tu jest w Krynicy na kuracyi... Ale nie lękaj się, on nie jest chory, tylko uroił sobie, że chory, i dlatego wymaga ciągłej opieki, a jakby Maryni zabrakło?...

— Ależ wy doprawdy dziecinni jesteście — rzecze nieco urażona Matylda. — Dla swojego szczęścia, chcielibyście poświęcić mnie na siostrę miłosierdzia... Szczególniejszy pomysł...

— Eh, bo ty tak wszystko zaraz na rozum bierzesz! Mówię ci zdrów jak ryba, filozof, uczony... tylko przyczepiła się go mania... Ale ja wiem dobrze, że rozsądna żoneczka prędko go z tej choroby wyleczy. No i cóż, droga Madziu, nie dąsaj się... sto razy więcej cię będę kochał, jak będziesz jeszcze moją wujanką... — Dziś zaraz muszę być u niego z wizytą — oświadczę się. Marynia nie wątpi o jego zezwoleniu; zapoznam cię z wujaszkiem, zapoznam z Marynią.. Ty mię znasz Madziu, że jestem trochę narwanym, proszę cię radź, pomagaj, bo daję ci słowo, jestem zdecydowany: albo Marynia, albo kula tu! — kończy pokazując na czoło.

— Zawsze ten sam — rzecze śmiejąc się lekko — wesoły, kochany desperat, Stasiu serce moje, idź no do pokoju ojca, przebierz się z drogi, pójdziemy do parku. Pokażę i ja ci mojego bohatera... mówię na seryo... wczoraj prawie mi się oświadczył.. porządny człowiek, doktor filozofii, i powiem ci pod sekretem, dość mi się podobał.

— Nie chcę słuchać, nie chcę wiedzieć o żadnym doktorze! — zawoła wstając nagle i zatykając sobie uszy palcami. — Za wujaszka pójdziesz, tylko za wujaszka!...

W tej chwili przez furtkę w sztachetach wchodzi do ogródka małego wzrostu, zgarbiony staruszek. Już na schodach zdejmuje słomiany kapelusz z głowy, z pod którego widzimy zamiast oczu dwa talarowej wielkości ciemnozielone szkiełka okularów. Staruszek idzie żwawym krokiem, rozpinając krawat na szyi.

— To się panie schodziłem, miłosierdzie Boże! — woła kładąc laskę na stole i siadając z przyjemnością na ławce. — Zrobiłem dwa kursa tam i napowrót ze Słotwinki... Ha, jaki upał!... dajcie kwaśne mleko! A to co? — Staś — pyta po chwili spostrzegłszy młodego człowieka.

— Ja drogi ojcze — odpowiada całując staruszka w rękę.

— Fruziu, Fruziu! — woła tymczasem pani Matylda do drzwi mieszkania — kwaśne mleko dla pana starszego!

— Cóż ty tu robisz? — pyta dalej radca zdejmując okulary z nosa.

Objaśniam, że staruszek jest urzędnikiem na pensyi z tytułem radcy stanu.

— Nudno mi było w Szczawnicy, zatęskniłem za wami, zresztą nie jestem zdrów...

— No, cóż ci takiego? — mówi radca wachlując się kolorową chustką.

— Co mu ojciec wierzy! — wtrąca Matylda, a spojrzawszy na brata dodaje: Dałbyś pokój z tą chorobą, tylko ojca martwisz...

— Naprawdę chory jestem, od niejakiego czasu nic a nic sypiać nie mogę...

— Nawet zmizerniałeś mi trochę... Mówię ci, jedz kwaśne mleko i chodź, chodź dużo tak jak ja. To nic, tylko humory biją do głowy... moja natura... i ja kiedy byłem w twoich latach tak samo cierpiałem.

— Co ojciec go słucha — odzywa się znów Matylda — zakochał się tam gdzieś...

— U was kobiet to tylko same kochania w ustach! — rzecze drażliwiej radca. — Co ma brak snu z zakochaniem?... Ja pamiętam, jak się starałem o nieboszczkę waszą matkę, to właśnie sypiałem najlepiej... Więc jakże ci się robi, powiedz?

— Nic, tylko spać nie mogę; położę się do łóżka w najlepszej myśli że usnę natychmiast, a tu nic...

— I zdaje ci się, że tu coś ciężył jakby kamieniem? — egzaminuje dalej staruszek pokazując na ciemię głowy.

— Rzeczywiście tak jest.

— A widzisz, to wszystko humory — konkluduje uśmiechnięty ojciec.

— Oj ty figlarzu! — mówi Matylda uprzątając stół przed ojcem.

— Moja kochana — odzywa się z niejaką wymówką staruszek — ty bo nikomu nie wierzysz, ale sama to potrafisz jęczyć: tu mię boli, tam mię boli, ach, och.. nie mogę tego... nie mam sił. I dobrze ci tak, zawsze będziesz cherlać, cherlać, dopóki trzymać się będziesz doktorów. Słuchaj mię Matyldo, rzuć te wszystkie ich żelaza, ich chiny, fosfory, dyabłoty... a weź się do mleka kwaśnego... zobaczysz...

— Jakóbie, Jakóbie! — woła tymczasem córka — a dajcież raz to mleko dla pana.

— Zaraz, proszę pani, w ten moment — daje się słyszeć głos lokaja.

— Kiedy, kochany ojcze — mówi zwracając się do radcy Matylda — to kwaśne mleko nie może być generalnem lekarstwem na wszystkie choroby.

— Właśnie, że jest na wszystkie, mówię ci to z doświadczenia — przerywa staruszek. — Tylko nie trzeba tak odrazu pakować w siebie całe talerze, ale stopniowo zacząć od łyżki stołowej Mnie, jak widzisz, to tylko trzyma na nogach. Mleko czyści krew, proszę was, reguluje żołądek, a żołądek moje dzieci, to gospodarz... Gdybyś mię słuchała...

— Dysputujcie tu państwo o tem mleku, a ja idę przebrać się jak kazałaś Matyldo i zaraz będę na twoje usługi.

Wchodząc do drzwi domu spotyka się Stanisław z Jakóbem, który na wielkiej tacy wnosi pompatycznie talerz mleka i kawał razowego chleba na spodeczku.

— Pan, to się kiedy z tem mlekiem doigra, oj doigra! — rzecze stary stawiąc tacę przed radcą — kto widział..

— Znowu nakładli śmietany na mleko — zawoła staruszek — miłosierdzie Boże, czego ci ludzie raczą mię tą śmietaną!

— Proszę poczekać, ja zaraz ojcu zbiorę — rzecze Matylda zdejmując łyżką śmietanę, i wylewając takową na spodeczek.

— I to grymasy, czyste grymasy — zapewnia sensacyjnie Jakób — przecie ze śmietaną lepsze. Czy to sposób tak chude mleko lać w siebie trzy razy na dzień, jak pan radca... będzie kiedy bieda...

— Co ty wiesz, stary niedołęgo — odpowie staruszek zasłaniając się pod szyję serwetą. — A kaszlesz po całych nocach, kaszlesz; nie bój się, słyszę ja dobrze przez ścianę. Mówię ci, jedz kwaśne mleko...

— Czy dobrze tak będzie? zdaje się już nic nie ma śmietany — rzecze córka przysuwając talerz.

— Oczywiście, ci panowie to teraz na chłopów się przemieniają; wszystko co chłopskie w modzie. Gdzieby tam dawniej jaki pan jadł chleb razowy, albo skosztował taką z przeproszeniem bełtugę. Psom się dawało z osypką, ludzie czasami w kuchni jedli, a teraz to mnie każą na tacy nosić jakby jakie delicye...

— Gderaj stary, gderaj zdrów — mruczy radca delektując się swojem mlekiem. — Przepowiadam ci tylko, że jak mię nie będziesz słuchał... to nie długo będzie z tobą fik! — rozumiesz?

— Niech ta będzie i fik — rzecze z rezygnacyą Jakób — a mleka taki jeść nie będę! — bo to ja chart z przeproszeniem...

— Idź no już stary, idź! — bo oto i pan doktór nadchodzi z wizytą — rzecze Matylda kłaniając się uprzejmie wchodzącemu z ulicy konsyliarzowi.

Elegancko ubrany, pełen giętkich i dystyngowanych ruchów, zbliża się na palcach prawie

młody jeszcze doktór kąpielowy. To pan Dyonizy, na ten sezon najmodniejszy lekarz, któremu pani Matylda powierzyła swoję kuracyą.

— Całuję śliczne rączki pani dobrodziejki,— jakże dziś zdroweczko? — Dzień dobry panu radcy!

— Dzień dobry, dzień dobry — odpowiadają naraz oboje, a młoda wdówka z uśmiechem podaje mu rękę na przywitanie i wskazuje krzesło.

— Dziękuję panu — rzecze poprawiając fałdy swej sukni — zdaje się lepiej, tylko zawsze jeszcze brak sił...

— Powoli, pani dobrodziejko, powoli i siły się wyrobią, tylko cierpliwości...

— Djabła się tam wyrobią — wtrąca staruszek mając pełne usta chleba — jak się dwa razy na dzień będzie moczyć w tej kąpieli, i jak będzie chodzić tyle co od ławki do ławki. Woda panie to wysysa siły...

— Ojcze kochany, ależ ja nie mogę...

— Co to, nie mogę, jak trzeba to wszystko można.

— Bezkrwistość — rzecze doktor — formalny brak krwi.

— Ciekawym, łaskawy panie, gdzie ją podziała? Ja, panie, ojciec jej, choć stary jestem, a mam krwi zanadto, a ona moja córka... Nie obrażaj się, panie, ja sobie jestem człowiek stary ale otwarty i nic a nic waszym gadaniom nie wierzę. Kwękałem tak samo lat dziesięć, dopóki was słuchałem... Pisali, macali, pukali, karmili lekarstwami, miłosierdzie Boże, jak mię męczyli. Aż tu prosta, panie, wiejska baba mówi mi: weź pan radca tej oto białej gorczycy raz łyżeczkę naczczo, drugi raz na noc, rób tak przez tydzień... Usłuchałem panie — i jakby ręką odjął, wszystko ustało...

— Bo ojciec zawsze był zdrów i jest zdrów...

— Co ja zdrów byłem! — krzyknie zaperzony staruszek — kładąc łyżkę na stole — Ja zdrów byłem skoro mię trzy razy przynosili z biura do domu jak nieżywego.

— Musiało być chwilowe uderzenie do głowy — odzywa się z politowaniem pan Dyonizy.

— Tak, tak, chwilowe, u was wszystko chwilowe; a dlaczegoż, kochany panie, męczyliście mię lat dziesięć..

— Przecież nie pan konsyliarz..

— On czy nie on ale tacy sami jak on... każdy doktor jeden...

— A apetycik jakże? — egzaminuje doktór udając, że nie słyszy dowodzeń radcy.

— Troszkę lepiej, tylko zawsze ten zawrót w głowie, ten szum w uszach...

— Humory, nic innego, tylko humory biją— to u nas familijna choroba! I mnie tak samo do dziś dnia biją — rezonuje staruszek — słyszałeś, że i Stasiowi biją i nieboszczce żonie także biły... Niech tylko żołądek będzie w porządku..

(C. d. n.)

TYDZIEŃ LWOWSKI.

IX.

Minął czas świąteczny, zbliża się pora pracy, a tego roku mamy tu we Lwowie wiele do zrobienia. Naturalnie, że na czele wszystkiego stoi nasza wystawa rolniczo-przemysłowa. Komitet rozwija z energią działalność na wszystkie strony, prace już znacznie postąpiły i ze stron wszystkich zgłaszają się liczni wystawcy. Aby o ile można usunąć wszelkie trudności z braku czasu pochodzące, przedłużono termin zgłaszania się do piętnastego maja, oprócz działu machin rolniczych, dla których ten termin upływa z dniem pierwszym. Krzątają się także około wystawy sztuk pięknych, która, jak wiadomo, na ten czas, dla Lwowa uroczysty, odłożoną została.

Jednym z najbardziej zajmujących działów, obiecuje być dział gospodarstwa wodnego, którym się specyalnie zajmuje prof. Szymon Syrski. Ci, którzy zwiedzali wystawę wiedeńską, przypomną sobie świetnie przez zasłużonego prof. urządzony dział morskich produktów i rybołowstwa, i wielkie Akwaryum na Praterze. Obecnie Dr Syrski wyjechał w podróż po wschodniej Galicyi, w celu poznania i zbadania naszego gospodarstwa wodnego. Sądzimy, że nasi obywatele, pospieszą z daniem mu wszelkich potrzebnych informacyi.

* * *

(A.) Czytelnicy nasi wiedzą z prospektu, że na lato przygotowujemy wydawnictwo specyalne illustrowane, poświęcone sprawom wystawy. Czynimy już teraz przygotowania, żeby pracę zrobić jak najpożyteczniejszą dla ogółu; oprócz wymienionych współpracowników, z którymi bliższe wiążą nas stosunki, postaramy się wkrótce o wielu innych znanych powszechnie z swych prac na polu rolnictwa i przemysłu. Nad pożytecznością tego rodzaju wydawnictw nie potrzebujemy się rozwodzić, liczymy więc na poparcie światłego ogółu. Pozwalamy sobie także na tem miejscu upraszać tych wszystkich, którzy udział biorą w wystawie lub się nią interesują, o nadsyłanie nam potrzebnych wiadomości, bo mamy zamiar rozpocząć wydawnictwo na pewien czas przed wystawą, a do tego krótkie wzmianki ogólne byłyby dla nas bardzo pożytecznemi.

* * *

(R.) Komitet wydawnictwa dziełek ludowych pod przewodnictwem wielce zasłużonego Alfreda Młockiego, ogłosił sprawozdanie z czynności swych w r. 1876. W ciągu roku tego wydał komitet następujące dziełka: Dzisiejsi męczennicy, Powrót z jarmarku, i trzy zeszyty nowego wydania „Ludzi z pod słomianej strzechy“ ś. p. Walerego Łozińskiego. Komitet zapowiada na rok bieżący wydanie broszury, która może być nader pożyteczną, p. t. Gmina Zalesie. Będzie to w formie powieściowej nauka o zasadach ustawy gminnej i szkolnej, tudzież o przepisach policyi ogniowej, budowniczej i sanitarnej. Następna zaś publikacya, także w powieściowej formie, poruszy rzecz o lichwie, i pouczy lud o działalności towarzystw zaliczkowych. Szczerze winszujemy komitetowi, że wchodzi temi publikacyami na tory praktyczne, i porusza sprawy, które chociaż nie wyłączne, zawsze jednak w wydawnictwach ludowych najważniejsze miejsce zajmować powinny. Smutniej wygląda ta część sprawozdania, która dotyczy rozprzedaży publikacyj komitetu. Z wydrukowanych łącznie 15.000 ekzemplarzy, rozsprzedano i rozdano około 5.000 ekzemplarzy po części w drodze księgarskiej, po części przez władze autonomiczne i osoby prywatne. Z rad powiatowych, które się przyczyniły do rozsprzedaży, wymienia sprawozdanie *aż* 7, tj. mniej niż dziesiątą część, dalej dwa magistraty miast, wreszcie *aż* 6 osób prywatnych. Cyfry te byłyby bardzo smutnem świadectwem braku gorliwości w sprawie oświaty, gdyby nie ta okoliczność że o istnieniu i działaniu komitetu mało co podawano do publicznej wiadomości, skutkiem czego udział gorliwych przyjaciół oświaty był dotąd tak mały. Obecnie gdy wszystkie czasopisma ogłosiły sprawozdanie komitetu, nikt się już niewiadomością tłomaczyć nie może, i dla tego wyrażamy nadzieję, iż następne sprawozdanie poda już okazały szereg osób, które się zajmą rozszerzaniem dziełek tych pomiędzy ludem.

* * *

Stanisławowski oddział Towarzystwa tatrzańskiego urządza w roku bieżącym większą wycieczkę w dolinę Bystrzycy. Pierwszą część doliny tej, od Jezupola do Stanisławowa, zwiedzą uczestnicy wycieczki w Zielone Święta, drugą zaś część, w okolicach już górskich, w drugiej połowie lipca, bezpośrednio po zjeździe Towarzystwa pedagogicznego, który tego roku odbędzie się w Tarnopolu. Druga ta wycieczka ma trwać dziesięć dni, a urządzający starają się o to, aby zapewnić sobie jak najliczniejszy udział specyalistów, którzyby podjęli się ułożenia fachowych sprawozdań. Towarzystwo dokłada wszelkich starań, aby wycieczka się świetnie powiodła, i jak najlepsze przyniosła owoce naukowe. Szczegółowy program będzie wkrótce ogłoszony.

* * *

Część artystów sceny polskiej udała się do Stanisławowa na kilka przedstawień, w których dadzą nowe komedye Fredry ojca, tudzież Zaleskiego i Blizińskiego. W przedstawieniach lwowskich nie zajdzie skutkiem tego żadna przerwa, pozostały bowiem jeszcze dostateczne siły. P. Ładnowski obrał sobie na benefis Romea i Julię, p. Zamojski zaś Przed ślubem, Zalewskiego. Obu artystom powinszować należy tego wyboru sztuk, a publiczność powinnaby licznem zebraniem się obu artystom złożyć dowody zasłużonego uznania.

Z dziedziny nauk przyrodniczych.

przez

Dr. Ł. Rościszewskiego.

Wędrówki zwierząt.

Już pierwsze wiosny tchnienie owiało ziemię, już pobudziło do życia w śnie zimowym pogrążoną dotąd naturę. Choć jeszcze często śniegową chmurą zakryte słońce, przesyła ono jednak ożywczego ciepła pełne promienie, pod których działaniem wszystko co żyje, w świąteczną odziewa się szatę i wesołą nuci pieśń odrodzenia.

Nie jest naszem zadaniem opisywać wdzięki przyrody, w które z wiosną stroi się ona, bo każdy, w kim piękna poczucie tli choć iskierką, sam wspaniałym tym cieszy się widokiem — my chcemy na ruch w świecie zwierzęcym zwrócić uwagę, na wędrówkę zwierząt, która pod tego samego czynnika działaniem w obecnym właśnie zaczyna się czasie. Ruch ten szczególny z wiosną i jesienią w parze idący, jako objaw zmyślności zwierząt już sam przez się na uwagę zasługuje, a zasługuje jeszcze tem bardziej, iż powagi naukowe jak *Ch. Darwin*, *M. Wagner*, *E. Haeckel*, *O. Schmidt* i *Alfred Wallace* uważają go

*

za jeden z głównych powodów przemiany i powstawania nowych gatunków i za przyczynę rozprzestrzenia się ich po ziemi.

Mało jest zwierząt, któreby jak człowiek kosmopolitami były na ziemi, mogąc żyć i rozmnażać się na jej całej powierzchni w każdej roku porze; z pod biegunów w podzwrotnikowe przenosić się okolice i wśród innych zupełnie życiowych warunków, swobodnie egzystencyą swą przedłużać. Zwierz-kosmopolita taki do nader nielicznych należy wyjątków. Najwyżej ze wszystkich zwierząt zorganizowane małpy, prócz południowych krańców pirenejskiego półwyspu, znieść nie mogą europejskiego klimatu; wzięte podstępem lub przemocą w niewolę i zmuszone wśród naszych warunków przebywać, pomimo troskliwych starań i pieczy, jakiemi je człowiek zwykle otacza, w niedługim czasie marnie giną na suchoty. Pies, koń i tych nie wiele gatunków domowych zwierząt, które wszędzie, gdzie człowiek gospodarstwem się trudni, towarzyszą jemu, maleńkim zaledwie są ułamkiem wobec ogólnego prawa, stale oznaczonych granic geograficznego rozprzestrzenienia się zwierząt na ziemi. Ze 14.000 znajdujących się na ziemi gatunków, człowiek tylko 47 pod swe panowanie zagarnął (7 owadów, 2 ryb, 17 ptaków i 21 ssących), które nie podlegając ani snu zimowemu, ani konieczności odbywania wędrówek dorocznych, swobodnie żyć mogą od bieguna do bieguna, nie przywiązując wagi do ojczyzny swych przodków. Innych zwierząt życie i rozwój ściśle związanym jest z warunkami geograficznej strefy im właściwej, po za której granice robią wycieczki czyli wędrówki podczas nieprzyjaznej dla nich pory zimowej, lub też podlegają letargowi, czyli tak zwanemu snu zimowemu, z którego, promieniami wiosennego dopiero słońca zbudzone do życia bywają.

Powodem wędrówek zwierząt jest często brak pożywienia, bądź to u nas i w zimnym klimacie, gdy pola śniegiem pokryte, bądź w strefie gorącej, gdy deszcze niszczą te źródła, z którego dany gatunek zwierząt pokarmy swe czerpie, lub gdy skwary gorącego lata wysuszą całą wegetacyą. Lecz częściej jeszcze niżeli brak pożywienia, sam klimat jest bodźcem do wędrówek dla zwierząt, a raczej zmiana z porą roku wegetacyi w danej miejscowości.

Im zwierzę w potężniejszy aparat ruchu jest zaopatrzone, tem dalsze odbywa podróże, tem więcej oddala się od strefy, w której większą część roku przebywa. Niedźwiedź biały, mieszkaniec stref wiecznego lodu i śniegów, sam ciężki i leniwy nie odbiegł by daleko, gdyby nie pomoc naturalna rzek, któremi zmęczony pieszą wędrówką, płynie z biegiem wody, lub spotkawszy naturalną tratwę z lodu lub drzewa, jej powierza swe losy, aby go zaniosła o mil kilkadziesiąt, gdzie stosowne znaleźć ma pożywienie. Często naturalna ta wędrówka nie jest więc dowolną, lecz losy jej ściśle związane z losami płynącej kry, lub spróchniałego pnia drzewa, które niosąc na sobie prócz niedźwiedzia, w wnętrznościach swych miliony przenoszą owadów, a te właśnie za pokarm służą jemu podczas tej dziwnej przeprawy. Lemingi, zwierzątka zwinne i muskularnemi opatrzone nogami, zamieszkujące góry i płaszczyzny Norwegii, w pewnych porach zbierają się w liczne gromady i wędrują na południe, a pokonywują na drodze tysiączne przeszkody przeróżnymi sposobami, których sama przyroda im dostarcza. Niektóre gatunki nietoperza i wieloryby znów inne mają środki, któremi się w wędrówkach swych posiłkują. Antylopy Afryki południowej, dzikie osły, reny, bawoły Ameryki północnej, foki i wiele innych zwierząt równie dalekie odbywają podróże, żadne jednak z pomiędzy ssących zwierząt nie przebywa tak ogromnych przestrzeni, jakie skrzydlate mieszkańce podniebnych okolic corocznie robią, by na letnie przenieść się mieszkanie.

Nie będziemy szczegółowo opisywać przelotów i wędrówek wszystkich ptaków — o tem dzieła z wielu tomów złożone dać mogą tylko dokładny obraz, wstrzymać się jednak nie możemy, by choć kilka słów zajmującemu temu przedmiotowi nie poświęcić.

Ptakom, tym mieszkańcom nieziemskiego świata, w wędrówkach ich śmiało dać można miano obywateli całej wielkiej krainy, jaką atmosfera stanowi. Składają one jakby osobne rzeczypospolite, które w całości na swoich i wiatru skrzydłach o tysiące mil przenoszą. Tam widzisz pochód tych pierzastych mieszkańców napowietrznych krain, jak w ścieśnionej falandze i szyku trójkątnym przeszywa śmiało powietrze, gdy nagle rozciąga się długim frontem lub na lekkie szwadrony rozprasza, a niesiony w kierunku wiatru za chwilę już z oczu twych zginął. Ci nadpowietrzni żeglarze długo nie zmęczeni, po nad krainą burz, chmur i nawałnic odbywają podróż bez kompasu i innych przyrządów, których człowiek na morzu potrzebuje, czasem tylko jakby ciekawością wiedzeni co dzieje się na ziemi, spuszczają się na dół, a chwilę wypocząwszy i posiliwszy się pokarmem ziemskim, znów ku niebu wzlatują, by z wiejącego wiatru korzystać. Podróże te bowiem odbywają ptaki w obecnym właśnie czasie — gdy u nas porównanie dnia z nocą, gdy wielkie wiatry panują. Z nich one korzystają, ich siłą niesione, swoje siły zaoszczędzają, płynąc bezpiecznie z zefiru powiewem, wiedzą, że on je na ziemię gościnną przyniesie, a one na niej znajdą schronienia bezpieczne, świeże cienie, góry i lasy i wód potoki, gdzie mieszkanie będą mogły nowe założyć, lub stare z poprzednich lat odnowić. I znajdują one tym sposobem swych rodziców gniazdo miłości, dzieciństwa swego kolebkę. Bocian swą bronę lub wierzycę starego domostwa pozna, jaskółka okno, gdzie jakby ludzkiej opieki szukając, wylęgła swe młode, słowik gaik, nad którego ruczajem miłość opiewał dla swej oblubienicy, tam znów ten pień starego dębu mchem obrosły, do siebie przyciąga ptaszka ludarkę, która w nim letnie mieszkanie z przeszłego roku poznaje.

Nie długi jednak pobyt tych wesołych mieszkańców u nas w lecie; w jesieni uciekają one, przeczuwając mróz naszego klimatu, do którego nie przywykłe, uciekają do krain zkąd przybyły, a w podróży ich znów sternikiem jest wiatr, znów kompasem jego kierunek. Małemi oddziałami wśród mgły jesiennej mkną nadpowietrzne szwadrony bekasów, wyciągniętą linią, jakby łańcuchem z żywych ogniw złożonym lecą czajki, siewki, i inne ptaki, a za niemi w klin uformowane, dążą przeszywając powietrze dzikie kaczki, cyranki, żórawie, bociany. Ich głos jęczący i krzyk posępny, to pożegnanie smutne pól, łąk i lasów, których skarbami wyżywiły swe młode, a które dziś zalane już nie mogą dostarczyć bezpiecznego schronienia. W ich miejsce znów przybywają do nas wypędzone mrozami północy skrzydlate ptaki zimowe, i tak na przemian. Kiedy gorących stref kraje w lecie do umiarkowanych odsyłają swe ptaki, zimnych swoje na zimę do nich w zamian wyprawiają.

Wodne ptaki takie same odbywają wędrówki, korzystają jednak nietylko z powietrznego oceanu, lecz zmęczone oddają się w opiekę falom mórz ziemskich, i na ich powierzchni niesione nie mniejsze odbywają podróże, jak tamci napowietrzni żeglarze. Mewy, rybitwy, setki mil przepływają oceanem a tyleż przelatują w powietrzu, uciekając przed srogą zimą północy.

Lecz nietylko ssaki i ptaki wędrują, uciekając przed nieprzyjaźną dla nich porą, i ryby to samo czynią. Jak niektóre ssące przed skwarem podzwrotnikowego słońca się chroniąc wdrapują się na szczyty 10 — 12 tysięcy stóp wysokie Himalayów, tak ryby z mórz uciekają w górę rzek i na odwrót.

Słynny ichtyolog *Valenciennes* podaje kilka szczegółów ciekawych dotyczących wędrówek *węgorza rzecznego*. Według niego wędrują one dla tarła do morza i dopiero w towarzystwie niezliczonego mnóstwa swych dzieci do rzek powracają, gdzie w ściśniętych płynąc szeregach, rozpraszają się po niejakim czasie po całej przestrzeni wód.

Wszystkie te wędrówki zwierząt zadziwiają przedewszystkiem swą regularnością, skutkiem której musimy ich uczestników jako znakomicie czujących zbliżające się zmiany meteorologiczne uważać. Inaczej regularność taka nie mogłaby mieć miejsca.

Tydzień Warszawski.

II.

Trzeba być doprawdy niespożytym organizmem, ażeby po dwu dniach świąt Wielkanocnych warszawskich módz jeszcze napisać jaką taką korespondencyą!

Nasze piękne panie przez cały tydzień o niczem innem nie myślały tylko o tem, ażeby nas przez te dwa dni wypchać babami, plackami i mięsiwem, — tak że dziś chodzimy prawdziwie jak z krzyża zdjęci. Dodajcie do tego że całą niedzielę deszcz lał jak z cebra, a dorożki — nawet sam policmajster by nie dostał — i postawcie się w położeniu kawalera, który ma 77 domów do obejścia; a w każdym z nich przynajmniej dwie gościnne niewiasty czyhające na jego zdrowie, podczas gdy pan domu usiłuje zrobić swoje, dolewając bezustannie węgrzyna... uf!

To gorzej niż być na prelekcyi Tarnowskiego, gdzie wprawdzie żebra wyłamują i oddychać nie dają, ale pozwalają przynajmniej dyetę zachować.

Warszawa już zapomniała o Tarnowskim — jeszcze tylko tu i owdzie słyszeć można lekkie wzmianki o różnych mniej estetycznych wyrazach, któremi na ostatnim odczycie młodszych poetów częstował; utrzymują także niektórzy, że jak na p. hrabiego, wzmianka o zdejmowaniu szarawarów na odczycie publicznym, nieco zanadto przypominała Ujazdów i słupy wielkanocne nasmarowane mydłem a będące szczytem marzeń dla warszawskiego *gamin'a* — ale nie idzie znów zatem, ażebyśmy dla tych *jędrnych* zwrotów mieli pójść za zdaniem fejletonistów *Gazety Handlowej*, będącej obecnie filiją *Przeglądu Tygodniowego*, i oburzać się na krakowskiego profesora dlatego tylko, iż tak samo może wymyślać jak autorowie „Ech Warszawskich" (fejletonu w *Prz. Tyg.*) — boć prawdę powiedziawszy, umie on jeszcze i coś więcej...

* * *

Ludek warszawski ciągnie tłumnie na Ujazdów. Karuzele, słupy i młyny djabelskie, budy i budki ukrywające w sobie *panem et circenses*, wszystko to pociąga ten poczciwy i dzielny lud — jak dziecko potulny, a gdy trzeba zacięty jak tygrys. Kto widział rok 1862 na ulicach Warszawy, ten dziwnego doznać

musi uczucia patrząc na te tłumy dziś tak spokojne i wesołe — a wówczas tak groźne i ponure, gdy nieruchomo stały wobec kul i bagnetów. Czy sądzicie, że dusza w nich zamarła, że ich wyrodziła niewola — o nie! Lud, który wydał Kilińskiego — pozostał czem był — i oby wszystkie warstwy narodu tak dzielne kryły serca jak ten tłum szewców i krawców, przekupek i uliczników. To lew, który drzymie tylko.

* * *

W polityce cisza — takeśmy już przywykli do przewidywań wojny, że nawet telegramy nie mają odbytu — pal djabli Ignatiewa i wszystkich mataczy: siedzimy więc cicho i patrzymy końca. A tymczasem bieda nas obsiadła i trzyma. Zastój straszny w handlu i przemyśle — ucisk jak był tak jest, nawet w ostatnich czasach cenzurę obostrzono tak, że redaktorowie pism codziennych w głowę zachodzą co robić, bo nieraz nie już „pierwszy“ tylko, ale połowa numeru zostaje w cenzurze — a wydać trzeba.

Z nowych pism „Kuryer Poranny“ wcale się nie popisał. Po sprycie p. Fryzego, który jeździł już wszystkiemi możliwemi środkami przewozowemi, nie wyłączając balonów i „kiszek“ strażackich — spodziewaliśmy się czegoś więcej — a tymczasem *Kuryer* ożeniwszy się z *Antraktem*, schudł i zmizerniał — nie przesądzajmy jednak przyszłości, może to tylko wpływ wielkanocnych niestrawności.

* * *

Siemiradzki przyjechał tu na święta — a natomiast pożegnaliśmy p. Sygurda Wiśniowskiego, znanego podróżnika, którego odczyt o *O kolonizacyi w Ameryce* nadzwyczaj się podobał. Niestrudzony turysta znów wyruszył do Anglii, którą chce poznać bliżej przy pieszych wycieczkach. Upewniał mnie na wyjezdnem, że wrażenia swe o tej podróży przedewszystkiem przyszle redakcyi „Tygodnia.“ A pan Wiśniowski lepiej niż ktokolwiek inny umie patrzeć i posiada świetny talent opisowy. Sądzę więc, że ta wiadomość przyjemną będzie dla czytelników „Tygodnia.“

* * *

Walka w kwestyi żydowskiej trwa dalej — z jednej strony Jan Jeleński jako żydożerca — z drugiej Bolesław Prus jako żydofil, nie ustają w polemice, która zresztą przyznać to trzeba, toczy się w granicach przyzwoitych. Pani Orzeszkowa w ostatnich czasach oddała się wyłącznie studyowaniu życia żydów i oprócz pierwszorzędnej powieści „Eli Makower“ pisze obecnie aż dwie nowe na tem tle osnute — jedną z nich drukować będzie „Izraelita“ — druga ma wyjść osobno. Witamy tę pracę z radością, najprzód bowiem wszelka specyalizacya jest pożądaną, a powtóre kwestya żydowska nie będzie mogła być rozwiązaną, dopóki tak mało znać będziemy wewnętrzne życie warstw żydowskich, jak to obecnie ma miejsce. My ich w istocie wcale nie znamy, i ztąd projekta nasze tak mało mają gruntu pod nogami.

* * *

Serya odczytowa tak bogata w roku bieżącym, jeszcze się nie skończyła. Po świętach usłyszymy jeszcze powiastkę humorystyczną Bolesława Prusa p. t. *Złe drogi do fałszywych celów*, którą sam autor odczyta, wykład p. Erazma Pilza, redaktora „Nowin Niedzielnych“ *O stowarzyszeniach zarobkowych* i dwie prelekcye członka waszej redakcyi Dra Juliana Ochorowicza *O twórczości poetyckiej*, które mają stanowić *pendent* do wykładów prof. Tarnowskiego, a podobno w części będą odpowiedzią na niektóre jego wycieczki.

Muszę też jeszcze wspomnieć o oryginalnem przedstawieniu „Widm“ czyli kilku scen z „Dziadów,“ które odbyło się w Wielką środę. Na tę piękną całość składali się Mickiewicz, Moniuszko, Gerson i niemal cały wybór naszych sił deklamatorskich. P. Gerson z nieposolitym wdziękiem ułożył żywe obrazy, z których zwłaszcza upiór wdzierający się przez zakratowane okno, olbrzymi sprawiał efekt. P. Marya Deryng, która też wzięła udział w deklamacyi, coraz więcej zyskuje sobie sympatyi Warszawian.

* * *

Dawniejsze pogłoski o reformie uniwersytetów w całem państwie rossyjskiem potwierdzają się. Możecie się domyśleć, że słowo „reforma“ w jedynem niekonstytucyjnem mocarstwie europejskiem ma zupełnie inne znaczenie, aniżeli na całym świecie. Tam reforma znaczy poprawę, u nas zgubę. Posłuchajcie tylko: Że u nas profesor uniwersytetu jest tak dobrze „czynownikiem“ jak podpisarz w cyrkule policyjnym — to było wiadomo; ale przynajmniej zachowywano pewne pozory cywilizacyi — które obecnie już uprzykrzyły się wspaniałomyślnym opiekunom uciśnionych Słowian. Według nowej reformy profesor wybrany przez wydział może nie być zatwierdzony przez ministra, co więcej, ten może sam od siebie mianować profesora wbrew zdania wydziału — rektor zaś zupełnie przestanie być wybieralnym i naznaczany będzie wprost z ramienia rządu, jak to dotychczas miało miejsce tylko w Warszawie w skutek „miejscowych warunków.“ Pod względem powiększenia katedr największy nacisk położono na wydziały filologiczno-historyczne, w mniemaniu bowiem rządu, ten rodzaj studyów wydaje najlojalniejszych obywateli.

* * *

Zapowiadają nam jeszcze dwa koncerta deklamacyjne, jeden Józefa Rychtera, który i u was występował z takimże wieczorem i p. St. Wiśniowskiego, który również uważa się za deklamatora. — Przygotowuje się także kilka nowych wydawnictw: p. Walery Przyborowski za przykładem prof. Liskego wydaje dzieło o cudzoziemcach w Polsce, a p. Aleksander Swiętochowski ogłasza przy *Przeglądzie* prenumeratę na dzieło swe *O rozwoju praw moralnych*. Rozprawę tę nabyła poprzednia redakcya *Ateneum* za 500 rs. — lecz od czasu gdy nowy redaktor p. Oskierko postanowił wystrzegać się wszelkich kwestyj „drażliwych“ — postanowiono wcale jej nie drukować.

Przyznacie, że to oryginalna gospodarka redakcyjna!

MIESZKAŃCY INNYCH ŚWIATÓW.

Pogadanka naukowa.

(*Ciąg dalszy.*)

Wszystkie planety krążące około ziemi rozdzielić można na dwie grupy, a mianowicie na cztery planety wewnętrzne bliższe słońca mniejsze i na cztery większe, zewnętrzne. Pomiędzy temi grupami krążą w przestrzeni tak zwane planetoidy lub asteroidy, drobne ciała niebieskie, których dotąd odkryto 172. Najbardziej znanemi z planetoidów są na początku tego wieku odkryte Vesta, Juno, Pallada i Ceres. Te ciała małe uważają za szczątki planety, powstałe już przy oderwaniu się od słońca, lub później wskutek jakiejś nieznanej katastrofy. Oczywiście asteroidy musiały już daleko więcej ostygnąć, niżeli wszystkie inne znane ciała niebieskie, z powodu że są bardzo małe. Nie będziemy więcej zwracali uwagi na planetoidy, bo są one tak małe, że o nich tylko bardzo niewiele wiemy.

Zajmiemy się więc tylko większemi planetami; do grupy wewnętrznej należą Merkury, Wenera, Ziemia, Mars, do zewnętrznej Jowisz, Saturn, Uran i Neptun. Ta ostatnia planeta oddaloną jest od słońca o 600 milionów mil geograficznych i światło słoneczne potrzebuje 4 godzin czasu żeby się tam dostać, mimo to, że przebiega 40.000 mil geograficznych na sekundę. Są pewne wskazówki, że za Neptunem krążą jeszcze inne ciała dotąd nieznane, których jednak biegiem rządzi nasze słońce. Są niektóre komety, które opisują bardzo wydłużone drogi i które niekiedy oddalają się nadzwyczaj daleko od słońca (np. 17.700 milionów mil geogr. kometa z r. 1680), a jednak mimo to są rządzone wpływem słońca naszego.

Jeżeli objętość ziemi naszej oznaczymy przez 1, to wielkość innych przedstawi się w następującym porządku: Merkury $^1/_{17}$, Wenera $^9/_{10}$, ziemia 1, Mars $^1/_6$, Jowisz 1400, Saturn 800, Uran 100, Neptun 90. Co za olbrzymia różnica między planetami bliższemi od słońca, a kolosalnemi masami krążącemi w większych odległościach; sam Jowisz ma więcej niż $^2/_3$ objętości wszystkich planet razem wziętych. Ten stosunek jest w części wyrównany nierówną planet gęstością. Merkury, najbliższy od słońca, ma mniej więcej gęstość srebra; następujące planety im są dalej, tem są mniej gęste i tak np. Neptuna gęstość odpowiada mniej więcej bursztynowi. Ciężkość gatunkowa ziemi naszej, została przez Reicha oznaczoną na mniej więcej 5,58, odpowiada więc dość dokładnie Arsenowi. Człowiek średniej tuszy, ważący mniej więcej 75 kilo, ważyłby na Marsie lub Merkurym tylko $37^1/_2$, a na Jowiszu $187^1/_2$, a na słońcu 2130 kilogramów.

Ponieważ zmienia się gęstość i objętość planet więc się też zmienia i działanie siły ciężkości, zmienia się ciężar i prędkość padania ciał. Na powierzchni ziemi naszej ciało spadające przebiega w pierwszej sekundzie 15 stóp paryskich, na Merkurym i Marsie tylko około 7, na Jowiszu 37, a na słońcu 428. Gdybyśmy na słońcu (ważąc jak już o tem wspomnieli, 2130 funtów) podskoczyli o jednę stopę, to przy upadku rozbilibyśmy się do szczętu. Na Marsie i Merkurym nasza broń palna miałaby podwójną donioslość strzału, a my sami moglibyśmy bez najmniejszej obawy skoczyć z pierwszego piętra na dół.

(C. d. n.)

TEATR.

„Ferreol“, dramat p. Sardou przedstawiony na naszej scenie przeszłej środy po raz pierwszy, osnuty jest na tle sławnego procesu, jaki się toczył niedawno we Francyi, a właściwie mówiąc jest kopią procesu udramatyzowaną. Tak w procesie, jak w sztuce, chodzi o odkrycie sprawcy pewnego zabójstwa, dokonanego na publicznej drodze. Wszystkie skazówki zgadzają się, że zbrodniarzem jest pewien d'Egremont, na którego odrazu padło podejrzenie, który jednak uporczywie twierdzi, że jest niewinnym. Ale że wszyscy zbrodniarze zwykle to samo twierdzą, więc sąd nie myśli zważać na to zaprzeczenie i już ma wydać potępiający wyrok. Wówczas zjawia się Ferréol. Jest to oficer francuski z wojska algierskiego, szlachetny, piękny młodzieniec, z ogorzałą od słońca afrykańskiego twarzą, ze śmiałem i uprzejmem spojrzeniem. Człowiek ten, na wieść o procesie, przybywa z Afryki, staje przed sądem i oświadcza że to on popełnił morderstwo.

Ferreol jest wprawdzie przyjacielem d'Egremonta, Ferreol sam się oskarżył o zabójstwo. Sprawa i sztuka kończy się w taki sposób, że prawdziwy zabójca sam się odkrywa i odbiera sobie życie.

Sardou żywcem wprowadził rzeczywisty proces do sztuki, nieco w nim tylko zmian porobiwszy, dla wydobycia tem większych efektów dramatycznych. Sztuka więc p. Sardou, jak już powiedzieliśmy, jest wierną kopią procesu, ale jako dramat jest dość słabym utworem. Wprowadzone tu są dwie sprawy zupełnie od siebie niezależne, sprawa zabójstwa i sprawa stosunku Ferreola z margrabiną, połączone z sobą czysto przypadkowym węzłem. Dobre to w procesie, ale w dramacie, który musi być czemś więcej jak protokołem zdjętym z życia, wywołuje to błąd organiczny, jakim jest brak jedności tematu.

POGADANKI.

XXIX.

Nie pamiętam już, w którym dzienniku, zarzucono hr. A. Fredrze młodszemu, że dramatyzowanej epopei tchórzostwa, którą ojciec jego napisał p. t. *Rewolwer*, nie przeniósł na jej grunt właściwy i przez autora wytyczony, ti. na grunt *naszych* „obowiązków obywatelskich“. Obowiązki te bywają w istocie łatwiejszymi do spełnienia, póki policya się do nich nie mięsza, a stają się nader drażliwemi, gdy za lada „przechowanie“ niebezpiecznego indywiduum, lub niebezpiecznego kawałka papieru, grozi koza.

Już to w istocie, trwożliwość obywatelska, ujawniająca się u nas w takich wypadkach, jest komiczną, tem bardziej, gdy najdalej dwa lata później, sama policya śmieje się z tchórzów, bo pod błogiem niebem przedlitawskiem, pod którem żyjemy, co dwa lata policya staje się bardziej postępową i wolnomyślną od owych obywateli, których niedawno zamykała do kozy.

Poczuwam się do winy, że opiałem raz w jakiejś powieści epizod z życia pewnego właściciela dóbr tabularnych, którego nazwisko zdradzało pochodzenie z pod owej góry, na której, według Biblii, miała się oprzeć Arka Noego, a który ku zdziwieniu żandarma, uciekał ośm mil, nic nie zbroiwszy. Mówię, że „poczuwam się do winy“, bo obowiązkiem moim powieściopisarskim i kronikarskim byłoby raczej, rozpocząć przedstawienie trwożliwych charakterów *ab ovo*, tj. od samego *zarodu* trwożliwości, że nie powiem, tchórzostwa.

Każdy przyzna, że *zarodem* mankamentów moralnych lub moralno-fizycznych tego rodzaju, jest zawsze *teorya*. Wprawdzie nieudolny rodzaj ludzki jest w stanie utworzyć sobie teoryą jedynie na podstawie praktyki, a praktyka kozy jest tak przykrą, że na jej podstawie musi tylko powstać teorya ogromnej ogledności. Ale gdzie praktyka nie jest tak drażliwą, tam i teorya śmielszą być powinna, a między innemi, powinne nią być w dzisiejszych stosunkach, w których — pp. wydawcom dzienników, dajmy na to, grozi w najgorszym razie objektywna konfiskata, zwykle zaś, chyba nierozumne oburzenie jakiego mniej wykształconego czytelnika....

Otóż, oddawna już postanowiłem sobie w drastyczny sposób postawić i udowodnić tezę, że najtrwożliwszymi, i najmniej szczerymi ludźmi w naszym kraju, są niektórzy pp. wydawcy. Ponieważ zaś w „Pogadance“ na tak szerokie wywody miejsca nie ma, i ponieważ tak gruntowne założenie odwiodłoby mię od celu, do którego zdążam, opowiem tymczasem tylko jeden fakt, który zdarzył się niedawno, i który rzuca nader niekorzystne światło na cywilną odwagę naszych pp wydawców pism politycznych.

Jeden z moich kolegów, przy sposobności ostatnich świąt Bożego Narodzenia, napisał fejleton o „Kolędzie.“ Wiadomo może szanownemu czytelnikowi, że niektórzy wywodzą wyraz „kolęda“ od *gerundium* słowa łacińskiego: *colo, colere*, podczas gdy drudzy widzą w nim pogrobowy żywot jakiegoś pogańskiego bóstwa słowiańskiego, które nazywało się Kolada, a recte, Koljada, i którego nazwisko, tem samem prawem, na mocy którego ruski *zajac* przemienia się w nosowego polskiego *zająca*, przemieniło się w nosową polską *„kolędę.“* Co do mnie, widziałem śpiewy niemieckie, drukowane *in usum* kolędników, i rozpoczynające się od słów: *Colenda dies Nativitatis* itd. — nie wierzę tedy w słowiańską *Koljadę*, żyjącą w *Kolędzie* — ale to nie ma nic do rzeczy. Dosyć, że kolega mój napisał fejleton, nadzwyczaj pięknie i poetycznie łączący ową słowiańską *Koljadę* czy *Koladę* (której święto, nawiasem mówiąc, przypadać miało około św. Jana, w czerwcu) z „Kolendą“ Bożego Narodzenia. Fejleton zaczynał się wszakże od ryzykownych słów: „Pozdrawiam was w imię Kolady i Chrystusa.“

I cóż się stało? Szanowny wydawca, poradziwszy się całej swojej rodziny i połowy mieszkańców tego grodu, w którym zapala codziennie światło wiedzy dla mniej wykształconych współobywateli swoich, uznał, iż taki początek fejletonu mógłby zadać cios śmiertelny jego dziennikowi, zważywszy, iż w kraju chrześciańskim, katolickim, i głęboko pobożnym, zestawienie nieznanego nikomu bóstwa pogańskiego z Synem Bożym a Zbawicielem naszym, uszłoby za objaw farmazońskiego, koszerno - liberalnego usposobienia redakcyi, i zrobiłoby w jego kasie uszczerbek wynoszący siedm przedpłat kwartalnych po 4 zlr, razem 28 zlr. walutą papierową austryacką, co równa się 16 rublom srebrnym, lub też 39 markom pruskim w złocie. Dzięki temu ściśle arytmetycznemu poglądowi, kolega mój zmuszonym był: 1° odłożyć swój fejleton na dzień późniejszy, i mniej stosowny ku rozbiorowi poruszonej w nim kwestyi — a 2° wykreślić owe pozdrowienie „w imię Kolady i Chrystusa,“ najpierw ze względu na owe 28 zlr. w. a., a powtóre, z powodu niestosowności pozdrowienia tego rodzaju w piętnaście dni po Bożem Narodzeniu.

Oto przykład, jak daleko sięga ideonośna odwaga władców naszych drukarń, i pańszczyznianych atamanów, hetmaniących piórom naszym, głoszącym wolne słowo i myśl wolną, niczem nie spętaną, braciom, siostrom, narodowi całemu!

Na szczęście, *Tydzień* nie jest codziennem, politycznem pismem, nie potrzebuje oglądać się na to, co powie organista w Gródku o jego artykułach, ani też na to, że „ciocia Kizia“ nie przyszle mu prenumeraty kwartalnej, i dla tego, wolno mi wydać w jego łamach okrzyk wielkiej boleści, spowodowanej naszem patryarchalnem, czcigodnem, nader smacznem, ale też nader niestrawnem — *święconem*.

Kiedy Mieczysław I przyjął wiarę chrześcijańską, kiedy Kazimierz I, zwany Mnichem lub Restauratorem, przywracał ją siłą oręża, księża chrześcijańscy nie mieli tyle trudności z dogmatami wiary pogańskiej, ile z obyczajami rodzinnymi i domowymi, połączonemi z tą wiarą. A ponieważ około *solsticium* zimowego, tj. około 21 Grudnia, poganie czcili powrót słońca ucztą, w której odgrywała rolę pszenica z miodem, a około wiosennego zrównania dnia z nocą, około 21 marca, poganie ci oddawali cześć Światowidowi, Trygławie, Jessemu, czy innemu biesowi, stawiając mu na stołach i zjadając później, wieprzowinę i rozmaite pieczywo, więc uczty te gastronomiczne połączono z symbolicznemi chrześcijańskiemi obchodami Bożego Narodzenia i Zmartwychwstania Pańskiego, i tym sposobem, zachowując formę i obyczaj, zmieniono treść rzeczy; na miejsce bowiem rzeźbionego lub malowanego bożka, wprowadzono Najwyższą, Niepojętą Istotę Stwórcy wszechświata. Że obchodu „święconego“ nie wzięliśmy ze Starego Testamentu, od żydów, tego dowodzi namacalnie ta okoliczność, iż w Starym Zakonie *menu* składało się i składa z lekko strawnych *mac* i pieczonej baraniny, podczas gdy u nas Wielkanoc bez ciast drożdżowych i bez srogiego świniobójstwa nie byłaby Wielkanocą.

I oto — nie w imię Kolady — ale w imię chrześciańskiej miłości bliźniego, w imię higieny, w imię dra Żulińskiego, który ją tak ślicznie wykłada — ośmielam się zaklinać i błagać: zarzućmy ten pogański obyczaj psucia sobie żołądków na cześć Zmartwychwstania Pańskiego, i obciążania naszych budżetów dwumiesięcznym deficytem, a naszych głów, kilkudniową migreną! Precz z babami, kiełbasami, szynkami, prosiętami i mazurkami! Niech żyje codzienna sztuka mięsa, rosół, cielęca pieczeń i lekkie pierożki z serem!

Ale niestety — mnie samego przeraża śmiałość tego okrzyku, który — jak powiedziałem — wznoszę wśród niewymownych boleści. Gdybym się odważył bezbożności podobne posłać w manuskrypcie do pewnej drukarni, karyera moja literacka byłaby skończoną — ukręconoby jej głowę, jak zbyt gadatliwemu szpakowi albo kosowi. Niechajże przynajmniej szanowny czytelnik, lub szanowna czytelniczka, nie wygadają się przed tamtejszym panem wydawcą i filarem nowych a zbawczych idei, że zestawiłem obrzędy pogańskie z naszemi chrześciańskiemi obchodami!

Jan Lam.

BIBLIOGRAFIA

polska.

— Stanley H. Jak odszukałem Liwingstona. 8ka str. 195 Lwów. 1877. 1·60.

Spis rozdziałów: Z Madrytu do Bagamoyo, z oceanu indyjskiego do Ugerengeri. Z Simbamoeni do Kuihary, Pobyt w Kuiharze, Z Kuihary do Tangeniki, Livingstone i jego odkrycia, Rusizi, Powrót do Kuihary, z Kuihary do Londynu, Wyjaśnienia geograficzne i etnograficzne.

— Stella Sawicki Jan Dr. Rady dla młodych mężatek. 8ka str. 176. Lwów. 1877. — oprawne 1·60

Treść: Ważniejsze epoki w życiu mężatki — O pożywieniu niemowlęcia w ogólności — Mleko — O potrzebie dla zdrowia matki karmienia dziecka piersią własną — Przeszkody do karmienia piersią — Jak powinna zachować się matka w czasie karmienia — Przysadzanie niemowlęcia do piersi — Mamka — Karmienie sztuczne — Wyrzynanie się zębów — Odłączenie dziecka od piersi — Pielęgnowanie niemowlęcia od urodzenia do ząbkowania — Dyeta i hodowanie dziecka po ząbkowaniu — Szczepienie ospy ochronnej — Robaki — Choroby dziecka, pielęgnowanie i obsługa — Moralne wychowanie dziecka — Książki najstosowniejsze dla wieku dziecięcego.

— Szlosser F. K. Dzieje powszechne, tom 18 zeszyt 107 i 108 8ka str. 65—236 Lwów. 1877.

Czasy prawodawczego zgromadzenia narodowego aż do ustanowienia Ministerstwa Żyrondystów (marzec 1792 r.) Monarchiczna Europa w ostatnich czasach przed rewolucją francuską i podczas pierwszych lat tejże. Rossya przed drugą wojną turecką carowej Katarzyny II. Gustaw III i Katarzyna II. Austryacko-rossyjska wojna z Turcyą od 1787 - 1792. Drugi podział Polski. Trzeci podział Polski. Stosunek Anglii, Austryi, Prus i Szwecyi do rewolucyi francuskiej. Przygotowania do wojny rewolucyjnej. Historya rewolucyi francuskiej i podjętej przeciw niej wojny, od wybuchu tejże aż do zamachu stanu z 18 fruktidora 1797. Przebieg rewolucyi francuskiej od wiosny 1792 aż do obalenia władzy królewskiej. Rewolucya francuska w ostatnich czasach zgromadzenia prawodawczego. Wojna Francuzów z Austryą, Prusami i in. p. Wewnętrzne ruchy we Francji od początku konwentu do ustanowienia komisyi ocalenia. Samorząd terrorystów. Żyrondystyczne i rojalistyczne powstania w prowincjach Francyi. Francya pod rządami Tryumwirów. Przebieg pierwszej wojny koalicyjnej w latach 1793 i 1794. Wewnętrzne dzieje Francyi od upadku Roberspierra aż do rozwiązania kouwentu w 1795 r.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, nauka i sztuka.

— Redakcyą „Związku," tygodnika poświęconego sprawom stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych, objął z dniem 1go bm. p. Tadeusz Romanowicz, w skutek wystąpienia dotychczasowego redaktora dra. Zgórskiego z Wydziału Związku stowarzyszeń.

— P. Edward Lubowski napisał nową komedyą pt. „Pogodzeni z losem."

— Prof. F. H. Lewestam przełożył na język polski słynny utwór Göthego *Götz von Berlichingen.*

— „Królowa Marya" (Queen Mary), jeden z najznakomitszych dramatów Tennysona, przetłumaczony został na język polski przez Józefa z Mazowsza.

— W ostatnim numerze czeskiego ilustrowanego tygodnika „Světozora" zamieszczony jest życiorys nestora naszych literatów K. W. Wójcickiego wraz z wizerunkiem.

— „Slavia" dała rozprawę o Juliuszu Słowackim, pióra p. Em. Zitka.

— Psy, kozy, konie, a nawet słonie przedstawiały się już publiczności za kinkietami scenicznemi, teraz przyszła kolej na wilki. Sardou kończy właśnie, jak donoszą paryskie dzienniki, sztukę p. t. „Wygnańcy," w której między innemi jest scena przedstawiająca bohatera w dzikiej okolicy uciekającego przed wilkami. W teatrze „Vaudeville" ma być wkrótce przedstawiony ten dziko realistyczny pomysł francuskiego autora. Wilki sprowadzone mają być aż z Rossyi.

— Pan Wiktor Tissot, autor „Voyages au pays des milliards et aux pays annexés etc." zamierza wydać wkrótce na widok publiczny dwie nowe swe prace: „Vienne et la vie viennoise" i „L'Allemagne amoureuse."

— W roku 1876 wychodziło 836 pism w Paryżu.

— „L'Evenement" w jednym z swych ostatnich numerów podaje kilka ciekawych wiadomości o naszych malarzach, wyrabiających sobie w Paryżu z każdym dniem coraz większe uznanie. I tak — według tego dziennika — Chełmoński zachwycony świetnem powodzeniem, jakiem się cieszyły jego ukraińskie widoki, gotuje dwa znów krajobrazy ukraińskiej ziemi. Kowalewski daje szkic włoski; Piątkowski „Córkę stepu" i portret fejletonisty francuskiego Armanda Gouziena. Z innego źródła komunikują nam, iż Władysław Bakałowicz wystąpi z dużym obrazem przedstawiającym epizod z rzezi św. Bartłomieja, rzeczywistą grozą przesiąknięty, a Artur Gąssowski pracuje nad dwoma wysokiej artystycznej wartości pejzażami, że Brochocki ma gotowy świetny pejzaż polski i że Stanisław Chlebowski, niedawno z Konstantynopola przybyły, da na wystawę dwa przepyszne na tle wschodu osnute płótna. Do rzędu polskich malarzy w Paryżu, do rzędu szkoły, na której czele stawiają Francuzi Matejkę, policzyć trzeba młodych hr. Cenera i Szyndlera, (drugi uczeń Cabanela), mających zamiar wystawić też swe prace. Jan Rosen wreszcie najmłodszy ze wszystkich, kończy obraz historyczny.

W teatrze lwowskim przygotowują „Lohengrina" słynną operę Ryszarda Wagnera. Ciekawiśmy jak nasza publiczność przyjmie to niepospolite dzieło, które przeszło już prawie przez wszystkie sceny świata i wywołało zdania najsprzeczniejsze. Jedni wynoszą mistrza pod niebiosa, drudzy drwią z niego nazywając go ironicznie „muzykiem przyszłości."

— Utworzył się w Anglii komitet w celu postawienia pomnika dla Szekspira, w Stratfordzie na Avonie, rodzinnem mieście poety. Z 30 osób złożony komitet zajmuje się zebraniem funduszów potrzebnych do wykonania prac, których plany już są zatwierdzone. Nie życzono sobie zwykłego manzoleum, życzono sobie, żeby pomnik Szekspira był czemś żyjącem, i prowadzącem dalej czynność wielkiego mistrza. Postanowiono więc wybudować gmach składający się z teatru, galeryi i biblioteki. W teatrze przedstawiać będą dzieła Szekspira, w bibliotece zbierane będą dzieła tyczące się sztuki dramatycznej, w galeryi znajdą miejsce wszystkie dzieła sztuki odnoszące się do Szekspira. Już zebrano więcej niż połowę potrzebnych kapitałów. Dnia 23. kwietnia położonym zostanie kamień węgielny.

— Trzy księgarnie: Wł. Zawadzkiego we Lwowie, i Al. Nowoleckiego w Krakowie i w Nowym Sączu jednocześnie w ubiegłym tygodniu zostały zamknięte. Co do pierwszej, to w ciągu piętnastomiesięcznego swego istnienia wydała: dra Bergera, Hygienę; Piotrowskiego, Zapiski Likwidatora; i tom I. dzieł Dominika Magnuszewskiego. Z prawdziwym smutkiem dowiedzieliśmy się o upadku firmy p. Al. Nowoleckiego zasłużonego wydawcy. Posiadał on przed 1863 r. księgarnię w Warszawie, która wydała swoim nakładem wiele cennych dzieł. Wypadkami r. 1863 zmuszony opuścić Warszawę osiadł w Krakowie i dalej pracował na polu wydawniczem, a mianowicie wydając *Czytelnię ludową,* której wyszło kilkadziesiąt tomików — są to prawie jedyne poważne wydawnictwa ludowe od r. 1863 — oprócz tego wydał wiele innych dzieł. Posiadał księgarnię w Krakowie od r. 1872. Przyczyny tych upadłości nie potrzeba szukać w apatyi publiczności do literatury ale raczej w braku kapitału zakładowego, handel księgarski bowiem wymaga znacznego kapitału wkładowego, bez którego można krócej lub dłużej wegetować, ale utrzymać handel bardzo trudno, szczególniej u nas przy tak niepewnym kredycie.

— Na Wielki Czwartek d. 29 bm. naznaczona była w Rzymie inauguracya tablicy pamiątkowej i marmurowej płaskorzeźby dłuta Brodzkiego na cześć Adama Mickiewicza. Myśl uczczenia w ten sposób Adama podniósł towarzysz wieszcza na Wschodzie, opiekun jego dzieci i tłumacz dzieł wieszcza, p. Armand Lévy, mieszkający w Rzymie. Potrafił on zjednać dla projektu municypalność Rzymu, przypomniał jej organizacyą legionów, walkę z Francuzami, i ową mowę Cavoura, w której powiedział, że czterema największymi poetami ludzkości są: Homer, Dante, Szekspir i Mickiewicz. P. Samuel Alatri, izraelita, wniósł projekt urzędownie jako członek municypalności; dnia 21 grudnia 1876 junta, złożona z pp. komandora Piotra Venturi syndyka Rzymu i z kawalerów Sanzoni, Armellini, Gatti, Simonetti i Cruciani-Alibrandi wydała dekret następujący:

„Junta municypalna, zważywszy wniosek uczyniony na posiedzeniu Rady dnia 29. listopada, przez radzcę Samuela Alatrego, dotyczący pamiątkowego kamienia na cześć wielkiego poety Adama Mickiewicza, dobrze zasłużonego Włochom, postanawia, iż w tym celu napis umieszczony będzie na domie, gdzie Mickiewicz mieszkał w r. 1848 przy ulicy del Pozzetto pod l. 114 dla przypominania potomności imienia tego sławnego męża."

Sekretarz generalny
Falcioni.

Pod rzeźbą Brodzkiego umieszczony jest napis po włosku:

IN QUESTA CASA
NELL' ANNO MDCCCXLVIII
ORDINO IL DRAPELLO
DEI CONNAZIONALI POLACCHI
ADAMO MICKIEWICZ
POETA E SOLDATO.

PUGNARONO INSIEME
PER LA INDEPENDENZA D'ITALIA
PER LA DIFESA DI ROMA.

S. P. Q. R.
XXIX MARZO MDCCCLXXVII.

Po polsku brzmi ten napis:
„W tym domu urządzał hufiec swych ziomków Polaków Adam Mickiewicz poeta i żołnierz."

„Walczyli razem za niepodległość Włoch i w obronie Rzymu."

„Senat i lud Rzymski 29. marca 1877."

Stowarzyszenia.

— Towarzystwo przyjaciół nauk w Poznaniu otrzymało następujące dary: od p. Żychlińskiego ozdobny teorban i ułamki ściany z biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie, na których znajdują się malowidła przedstawiające Jadwigę i Jagiełłę i orła Jagielońskiego, od p. Bog. Łubjeńskiego 17 naczyń rozmaitego kształtu, znalezionych w grobach przedhistorycznych w Kiączynie, i dwie brązowe urny z popiołem; od p. A. Zakrzewskiego strzemię z XVI wieku i szóstak koronny Zygmunta III.

— Zarząd Towarzystwa naukowego w Toruniu donosi, że po wystąpieniu dotychczasowego sekretarza generalnego, pozyskał przez kooptacyą, tymczasowo na urząd ten p. dra. Leopolda Różyckiego z Torunia, do którego wszelkie pisma i przesyłki dla Towarzystwa przeznaczone adresować należy.

Podróże.

— Markiz Compiègne, słynny podróżnik po Afryce, jeden z najdzielniejszych i najodważniejszych badaczy, został zabity w pojedynku w 30 roku życia.

— Achille Raffray francuski podróżnik i entomolog który od 1873 do 1875 podróżował po Abissynii i Afryce wschodniej, i opisał swe przygody w książce wydanej w r. 1876 w Paryżu, jest obecnie w drodze do Nowej Gwinei a niedawno zwiedził wnętrze wyspy Jawy. Ztamtąd ma zamiar udać się do Celebes, zwiedzić Amboinę, nająć tam malajskich służących Beccarego i popłynąć do Nowej Gwinei by ją zbadać pod względem zoologicznym i geograficznym.

Wielkie przedsięwzięcie.

— Jednę z najwspanialszych konstrukcyi, świadczących o wysokim postępie nauk inżynierskich, konstrukcyi zaiste pomnikowych jest most, budujący się pomiędzy Nowym Yorkiem a Brooklyn (East-River). Budowa tego mostu została rozpoczętą w 1870 r. a ma być ukończoną w 1879 r. i wykonywa się podług planów znakomitego inżyniera I. A. Röblinga, pochodzenia niemieckiego, osiedlonego od dzieciństwa w Ameryce, który także miał nad budową główny kierunek. Umarł jednak temu trzy lata i od tej pory roboty prowadzi syn jego.

Most ten systemu drutowego będzie najdłuższym i najszerszym, jakie dotąd zostały postawione; mieć będzie bowiem długości 1050 metrów z ułamkiem a opierać się będzie tylko na dwóch przyczułkach i dwóch filarach; każdy zaś z tych filarów wytrzymywać może ciśnienie 10,000,000 kilogramów, na objętość 24.000 metrów kubicznych. Ogólna szerokość mostu wynosi w cyfrze okrągłej 25 metrów, z których przypada 10 i pół na dwie drogi kołowe, 7 i pół na drogę żelazną, a reszta na trotuary dla pieszych.

Rolnictwo.

— W Vogelsheim w Alzacji w roku 1872 wytępiono 26,600 chrabąszczy. 285 pędraków, 2.564 myszy, 305 szczurów, 7,565 gąsienic i jednego tchórza a nadto ochroniono od napaści szkodników, 245 gniazd ptaków owadożernych.

Statystyka.

— Według najnowszych spisów, ludność ziemi liczy obecnie 1490 do 1500 milionów. Z tego wypada na Europę 309 milionów, na Azyą 824 milion., na Afrykę 200 mil., na Amerykę 85 mil., na Australię 5 milionów. Najludniejszem państwem są Chiny: 400 milionów, Indye angielskie około 200 milionów. W stosunku do przestrzeni wypada w Europie 82 mieszkańców na milę kwadratową, w Azyi 48, w Afryce $17^1/_2$, w Ameryce $5^1/_2$, w Australii $1^1/_2$. Oczywiście że obliczenia te nie są zupełnie ścisłe, jest bowiem jeszcze wiele państw, w których jeszcze nie przedsiębrano dokładnych spisów ludności, są i takie, w których spisy nie dają zupełnej rękojmi ścisłości. Do tych ostatnich zaliczyć należy i carat rosyjski, który pozuje na bardzo skrzętne i gorliwe zbieranie dat statystycznych, a bardzo mu jeszcze daleko nawet i do tych niedostatecznych wyników, do jakich doszły inne państwa europejskie.

Sport.

— Co rok od pewnego czasu odbywają się w Anglii wyścigi psie, mianowicie konkurs się rozgrywa pomiędzy chartami, a to w ten sposób, że po kolei puszczają za zającem po dwóch psów, a psy, który pierwszy doścignie kota z każdej pary współubiegają się następnie pomiędzy sobą itd. aż dwa psy zostaną i z tych dwóch bierze nagrodę pierwszy, który uchwyci zająca. W tym roku do konkursu stanęło chartów 65. Wyścigów za tem było 62, a w ostatnim zdobył nagrodę, wstęgę niebieską Derby chart Commassie. Ma być on przedstawiony królowej. Pierwsza nagroda wynosiła 12.500 fr. Druga 5.000 nie licząc ogromnych zakładów.

ROZMAITOŚCI.

— Handel niewolnikami, którym z powodu ostatnich doniesień z południowego Egiptu, gorliwie znów się zajmować zaczęła prasa europejska, otrzymał, jak się zdaje, cios stanowczy z rąk Khedywa przez mianowanie dzielnego pułkownika Gordona, gubernatorem krainy Sudanu. Oto, jak sam Gordon wyraża się w tej mierze w prywatnym liście z dnia 27 lutego: „Jego Wysokość podpisał firman. Większego posłannictwa już mi dać nie mógł. Udzielił mi władzę nieograniczoną nad Sudanem, oraz prowincyą równikową i pobrzeżem Czerwonego morza. Zdumiony jestem tem zaufaniem, tą potęgą, którą złożył w moje ręce. Ponieważ jestem już generalnym gubernatorem Sudanu, byłoby to błędem, winą moją gdyby teraz niewolnictwo nie ustało i gdyby ogromne owe krainy nie zostały otwarte dla całego świata. Tak więc, dzięki Bogu, kres niewolnictwa został położony, zależało to bowiem jedynie i wyłącznie od rządu miejscowego w Sudanie, a skoro gubernator sam jest przeciwnikiem niewolnictwa, to musi ono ustać z pewnością.“

— W kąpielach Saxon — pisze dziennik „La vie mondaine“ — właściciele istniejącego tamże domu gry, zrobili odkrycie, że krupierzy i tak zwani „chefs de partie“ okradali ich niemiłosiernie. Sposób dokonywania kradzieży jest bardzo ciekawy, gdyż oparty na obserwacyi psychologicznej. Jeżeli gracz np. położył dwa napoleony i wygrał, wtedy, zamiast dwóch, krupier wypłacał mu cztery. Najczęściej w takim razie, gracz nie zbyt skrupulatny chował pieniądze spuszczając oczy... i nic dziwnego, bo czuł, że popełnia nieuczciwość. Otóż, z tego chwilowego spuszczenia oczu korzystał krupier i szybko dobywał z kasy paczkę banknotów, którą chował do kieszeni, a po skończonej grze dzielił się zdobyczą z innemi krupierami, świadkami i wspólnikami tej malwersacyi. W ciągu lat kilku dokonano w ten sposób kradzieży na półtora miliona franków. „La vie mondaine“ dodaje, że wszyscy obwinieni są Niemcami.

— Dwóch Polaków było w czasach ostatnich w służbie tureckiej, którzy wysokich stopni dobili się w armii, mianowicie Dżelladyn pasza (Borzęcki) i Mahmud pasza (Freund), z Warszawy. Pierwszy zginął śmiercią bohaterską, który sam szukał śród gradu kul czarnogórskich; drugi Freund, jak wiadomo, posądzony o winę krwawej klęski pod Medunem, został stawiony przed sądem wojennym. Mimo że śledztwo sądowe wykazało, że działanie jego pod Medunem nie przyczyniło się do klęski, sprawa Mahmuda stoi ciągle niejasno. Sąd na niego złożony zamknął swoje czynności, uwolniono go niby z pod aresztu, mieszka prywatnie, może przyjmować wizyty, nie oddano mu jednak szabli, co wychodzi na to, że uważać się musi jeszcze ciągle za aresztowanego.

— W Paryżu przedsiębierze obecnie instytucya finansowa „Crédit Lyonnais“ budowę hotelu, która formalnie pod dzwonem dokonaną będzie, a mianowicie w tym celu, aby nawet podczas zimy roboty mogły postępować naprzód bez przeszkody, co oczywiście przyniesie oszczędność czasu i procentów od przeznaczonego na przedsiębiorstwo kapitału. Czy korzyści pieniężne odpowiedzą zamiarowi, wątpliwa, gdyż sporządzenie pomienionego dzwonu a raczej rodzaju olbrzymiej skrzyni z drzewa i szkła, pod którą roboty będą prowadzone, wymaga nakładu co najmniej 75,000 franków. Niemniej przeto budowa ta będzie nadzwyczaj zajmującem i oryginalnem przedsiębiorstwem. Skrzynia ta nakryje przestrzeń 1,600 metrów □ a opierać się będzie w swoim środku na rusztowaniu 30 metrów szerokiem. Górna pokrywa skrzyni będzie po większej części szklanna a oświetlenie gazowe umożebni prowadzenie w nocy.

— Pewnego dnia w kwietniu 1846 roku, pisze l'Illustration, zaprosiła panna Rachel na obiad Alfreda de Musset. Reszta gości składała się z ludzi najlepszego towarzystwa i bardzo bogatych. Podczas obiadu spostrzegł sąsiad siedzący po lewej ręce wielkiej artystki prześliczny pierścień na jej palcu. Zaczęto podziwiać pierścień, wynosić talent jubilera i każdy z kolei dorzucił jakąś pochwałę tego cennego klejnotu. „Ponieważ pierścień mój miał szczęście podobać się panom, — rzekła Rachel — puszczam go na licytacyę.“ Jeden z gości ofiarował zań 500, drugi 1000, trzeci 1500 franków.—„Kto da więcej?“ zapytała artystka; 3000 franków — zawołał ktoś z gości. Wtedy Rachel zwróciwszy się do Musseta: „A ty, mój poeto — zapytała — cóż to, nie należysz do współzawodników? Powiedz co mi ofiurujesz.“ „Serce“, odpowiedział Musset. „A więc pierścień jest twoim“ — rzekła rozpromieniona radością Rachel i z dziecięcą niecierpliwością zerwawszy pierścień z palca rzuciła go na talerz poety. Musset wstawszy od stołu sądził, że żart trwa dość długo i podał pierścień artystce: „O nie, nie, targ już przybity — zawołała — jam nie żartowała, dałeś mi swoje serce i nie zwrócę ci go nawet za 100,000 franków. Teraz się już cofać zapóźno.“

— Opodal wybrzeży amerykańskich odegrał się niedawno przerażający dramat. Dnia 9 stycznia r. b. między 37°23' szerokości a 33°30' długości, okręt „Mac-Donald,“ dostrzegł na pełnem morzu, rozbitą barkę bez masztów i utrzymującą się na powierzchni wody, za pomocą desek, ktore przymocowane do pomostu, stanowiły ładunek statku. Na barce było 2 ludzi. „Mac-Donald“ zbliżył się do rozbitków i przyjął ich na swój pokład. Jeden z nieszczęśliwych, po kilku godzinach umarł, drugi James Laughlin, Irlandczyk, opowiedział co następuje: Rozbita barka była statkiem angielskim „Maria,“ miała 14 majtków i dowodzoną była przez kapitana Grayson. W roku zeszłym wypłynęła z portu Duboy (Georgia) i kierowała się do Belfastu. W trakcie przeprawy, w barce pękła spodnia ściana i woda z taką szybkością wdarła się do wnętrza statku, że ludzie zaledwie zdołali uciec na pomost. Barka pochyliła się na bok, maszty zwaliły się. Gdyby nie ładunek desek, nastąpiłoby natychmiastowe zatonięcie. Zapasy żywności zostały wszystkie uniesione. Ekwipaż cały, zebrał się na tylnym pomoście na deskach. Dla nieszczęśliwych tych, rozpoczął się długi szereg męczarni. Jedyną ich nadzieją było dostrzedz na dalekim horyzoncie, statek i sygnałami wołać o ratunek. Trocha żywności, jaką zdołali uratować nie na długo im starczyła. Na drugi dzień po rozbiciu, w dali, zarysował się na tle niebios, cień okrętu. Rozbitki przez kilka godzin dawali rozpaczliwe sygnały. Nareszcie okręt nadpłynął. Kapitan Grayson zawołał o pomoc. Oficer, który się znajdował na okręcie, w odpowiedzi dał znak ręką, tak jakby miał zaraz wysłać czółno. Tymczasem okręt nie zatrzymawszy się wcale popłynął dalej w swoją drogę. Pod jaką flagą był ten okręt, nie wiadomo. Podług praw i zwyczajów morskich, okręt nieratujący rozbitków na pełnem morzu, popełnia zbrodnię. W dziewięć dni potem, w skutek wycieńczenia, umarł chłopiec okrętowy (mousse). Następnie w trzy dni, umarł jeden majtek; za nim w dość krótkich przerwach, poszli jego towarzysze. Kapitan, był już pozbawiony sił. Nareszcie i on wyzionął ducha. Pozostali tylko Mac Lauglin. Przez cały ten czas, w miarę jak który z majtków umierał, towarzysze jego otwierali mu natychmiast gardło, wypijali krew i zjadali jego serce i móg, na surowo; resztę wyrzucali do morza. Po trzydziestu trzech dniach takich okropnych katuszy, dnia 9 stycznia, nadpłynął nareszcie amerykański okręt „Mac Donald“ i ocalił ich. Pomocnik kapitana umarł, a Mac Laughlin, przeszedłszy długą i ciężką chorobę w szpitalu w Gorei, gdzie go kapitan amerykańskiego okrętu dowiózł, przyszedł do zdrowia.

— Donosiliśmy już o zgonie sławnego przadsiębiorcy amerykańskiego, Korneliusza Wanderbilta, który wraz z Wilhelmem Astorem i Aleksandrem Stewartem, należał do najbogatszych ludzi w świecie. Ale Astorowi łatwiej było dorobić się kolosalnej fortuny, gdyż dostał w spadku miliony, Stewart zaś, jakkolwiek stosunkowo niezamożny, otrzymał przynajmniej znakomite wykształcenie, które mu dopomogło spożytkować swój nie wielki fundusz w sposób tak świetny; jeden tylko Vanderbilt nie posiadał ani majątku, ani nauki. Silne ręce i żelazna energia stanowiły jego kapitał. Rozpoczął on swój zawód jako przewoźnik, mając do rozporządzenia jedną tylko łódź, nabytą za ofiarowane mu przez matkę 100 dolarów. Od lat młodzieńczych Vanderbilt szedł ciągle wytrwale i prostą drogą do szczytu swoich powodzeń. Z czasem nabył więcej łodzi, później kupił statek transportowy, aż w końcu stał się właścicielem całej flotty parowców. Ale nie tu jeszcze był kres jego działalności. Od żeglugi zwrócił się do kolei żelaznych. Szczęśliwa gwiazda nie zawiodła go i na tem polu, przeciwnie interesa szły mu nawet pomyślniej niż dawniej, tak iż przed kilkunastu laty, wycofał się zupełnie z przedsiębiorstwa komunikacyi wodnej, a natomiast, zagarnął w swoje ręce największe i największe przedsiębiorstwa kolejowe jakie kiedykolwiek były w posiadaniu jednego człowieka. Najstarszy syn jego odziedziczył teraz po śmierci ojca 45 milionów dolarów; cały zaś majątek wynosi od 80 do 100 milionów dollarów. Vanderbilt miał już trzynaścioro dzieci, gdy 7 lat temu, wszedł w powtórne związki małżeńskie z młodą i powabną mieszkanką okolic południowych. Nie był on skłonnym do ofiar na rzecz zakładów dobroczynnych i instytucyj publicznych. Pod tym względem zarówno Vanderbilt jak i Astor nie są wcale podobni do szlachetnego Peabody. W olbrzymim testamencie króla kolejowego, pożytek publiczny został pominięty. Jedyną zasługą nieboszczyka w tej mierze, jest założenie, pod swojem nazwiskiem, Seminaryum w Nashville. Hojniejszym był od niego Stewart, gdyż zostawiając olbrzymi majątek żonie, poruczył jej poświęcić cząstkę takowego na korzyść ogółu. Astor zaś i Vanderbilt myśleli tylko o tem, aby nagromadzone przez nich mienie, o ile możności zabezpieczyć od podziału.

Od Redakcyi.

Panu Bogumiłowi K. Wiersze pańskie bez zmiany drukowane być nie mogą.

Korespondentce w Bóbrce. Wyrazy nie do przyjęcia.

Panu C. K. w Stryju. Z przyrodniczych czasopism wychodzą w polskim języku w Warszawie „Przyroda i Przemysł“ a we Lwowie „Kosmos“ organ polskiego towarz. Przyrodników, który uważany za najlepszy i jako taki Panu polecamy.

Redakcyi Przeglądu Krytycznego w Krakowie. Wysyłamy od pierwszego.

Panu J. M. O. w Ostrowie. Książki ogłoszone za połowę ceny dla prenumeratorów „Tygodnia“ można dostać tylko w Administracyi (w Księgarni Polskiej), nic dziwnego że Pan gdzieindziej zapłacił podwójną cenę.

P. D. w Ostrzeszowie. Serja druga „Chorób Galicyi“ nie wyszła z druku. Żądanego katalogu nie posiadamy.

P. E. W. w Wojniczu. Drugi egzemplarz chętnie przyszlemy, tylko nie możemy zgodzić się na miesięczne spłaty, przyczynia to bowiem wiele nieporządku w administracyi.

Pani A. Ł. w Tarnopolu. Prenumerata na „Tydzień“ kwartalna 4.40, otrzymaliśmy 4 należy się jeszcze 40 ct.

Panu M. J. w Vaslui. Półroczna prenumerata „Tygodnia“ po za granicami Związku niemieckiego wynosi 20 franków. Zwracamy uwagę na podane ceny w tytule pisma.

Treść Nr. 31.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego). Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.